

ARCHIWUM WŚCRODNI

Urodziłem się 1 w 1926 r. w Kruszewie gm. Barszczewo. Do wybuchu wojny skończyłem 6 klas szkoły powszechnej. Pamiętam, że jak wojna wybuchła to razem z bratem wozikiem słomę, która potrzebna była do spalenia mostu na Narwi w Kruszewie. Był to odcinek drogi ze Starosielc do Jeżewa i dalej do Warszawy. Byłem najstarszym z braci, których miałem ~~wtedy~~ trzech i jeszcze ~~krzy~~ 4-ery siostry. Miałem więc wtedy 13 lat a najstarszy brat po ~~mn~~ mnie miał 11 lat. Most ten już był przygotowany przez żołnierzy do spalenia. Był cały drewniany i niektóre bale były spod niego powyrywane, tak, że wystarczyło tylko ogień podłożyć. To jak go wtedy spalili, to jeszcze do dzisiaj nie został odbudowany. Mimo to, że most został podpalony to jednak nie spłonął całkowicie i niemiecki patrol przeszedł po nim i z naszej strony spotkał polski patrol i postrzelali się. Polacy wycofali się a ~~nie~~ wtedy niemiecka artyleria zaczęła strzelać i od pocisków spłonęło pół wsi. Jeden z naszych żołnierzy, który był z Grodna zdążył już przebrać się w cywilne ubranie ~~i~~ wtedy, w czasie tego ostrzału, zginął. Dwie osoby zostały też ranne. Domy paliły się tym łatwiej, że jesień była gorąca i sucha a Niemcy strzelali zapalającymi pociskami. Cele dla artylerii wskazywały rakiety. Przesuwały się one do przodu, w ślad za nimi przesuwali się także ogień artylerii a za nią szła piechota. Leżałem na ziemi i widziałem jak rakiety przenosiły ogień artylerii coraz dalej. Most zawalił się ale tak, że wystawał z wody, a więc Niemcy, ~~gd~~ gdy weszli do wioski to ze wszystkich stodoł i domów zabrali drzwi, które położyli w poprzek na tym moście i dzięki temu mogli z niego natychmiast korzystać. Ciężki sprzęt co prawda po nim nie przeszedł ale motocykle i piechota przeszły. Oddziały te przeszły przez wieś i znikły. Od 1 tej pory, aż do ich wycofania się w miesiąc później nie pojawili się we wsi. W październ

do głosowania służyły ołówki, bo nie było przecież długopisów ani piór. To właśnie moim zadaniem było chodzenie po kabinach do głosowania i ^ptemperowanie tych ołówków. Robiłem to nawet wtedy, gdy w kabinie był głosujący. widziałem więc jak ludzie głosują. Ludzie nie bali się mnie, bo mnie przecież znali. Ludzie kreślili wszystko, chociaż przecież nie wolno było tego robić, dopiski po rosyjsku robili, jeżeli znali ten język, ale wszystko jedno wyszło, że 99% głosowało za przyłączeniem do Białorusi.

Przed głosowaniem we wsi odbywały się wiece. Prowadził je żołnierz, który stał na kwaterze u sąsiadów. To jak buty wysmarował dziegciem, to szedł dumny przez wieś jak paw. To był chyba jakiś politruk z wojska. Byłem na takim wiecu. Obiecywali nam jaki to będzie raj u nas jak będziemy głosować za przyłączeniem do Białorusi. Ziemię wszyscy będą mieli, panów nie będzie, fabryki będą robotników. Ludzie to początkowo nie wiedzieli czym to pachnie. Zorientowali się gdy trzeba było kupić litr nafty to trzeba było jechać aż do Białegostoku na noc i wystać w kolejce. Z cukrem było to samo i wtedy wszyscy zorientowali się jak wygląda raj. Jak żona pamięta, bo ona była wtedy w Białymstoku, to za chlebem musieli już w nocy stawać w kolejce. Na wsi to było o tyle lepiej, że chleb piekło się w domu. Mięsa to jednak nie było wszędzie. I potem właśnie już po wyzwoleniu na lubelszczyźnie i w białostockiem był największy opór, bo już ludzie przeżyli początki tego rajku i wiedzieli co to znaczy. Rozostali to jeszcze nie wiedzieli co to jest i wierzyli w te słówka.

W styczniu 1940 r. zaczęły się pierwsze aresztowania. Oczywiście na pierwszy ogień poszedł kierownik szkoły. Dwa miesiące później, w marcu, aresztowali jego rodzinę: żonę, dwoje dzie-

ci i staruszków, rodziców żony. Oni już nie wrócili, natomiast kierownik szkoły wrócił. Jak opowiadał z Białegostoku przewieźli go do Mińska. Po rocznym śledztwie, gdy zaatakowali Rosję Niemcy, pogonili go w konwoju na piechotę w głąb Rosji. Kto ~~xxx~~ słabł w tym konwoju to był rozstrzelany - dobijany przez konwojentów. W pewnym momencie usłyszeli jazgot. To nadjeżdżała kolumna pancerna. Konwojenci zatrzymali nas i spędzili na bok, bo myśleli, że to swoi jadą, a to była niemiecka kolumna pancerna. Niemcy powychodzili z czołgów, rozstrzelali tych konwojentów więźniom a ~~xxx~~ kazali ~~x~~ wracać do domów. Świerniak jak wrócił do wsi to pokazywał nam ręce i nogi. Na udach i łydkach miał same blizny. To były ślady po zębach psów, które gryzły go na śledztwie. Były to same blizny, aż nieprzyjemnie było patrzeć. To w Mińsku go tak przesłuchiwali.

w Konowalach była taki Kacabuła - przedwojenny komunista. Jak przyszli Sowieci to w klapę wkleił czerwony znaczek i dumnie go pokazywał. Na wszystkich wiecach bywał. To był wielki działacz. Szybko jednak wyleczył się z komunizmu jak całą zimę przesiedział w lesie, bo od hektara lasu trzeba było ileś tam metrów sześciennych wyrąbać a latem na Krywlany wozik całe metry sześcienne kamieni. Potem po wyzwoleniu to u niego była nasza najpewniejsza kryjówka. Nie musieliśmy go do niczego zmuszać Sam nas chętnie przyjmował.

Właśnie w 1940 r. był deputatem do Sielsowietu. Z Kruszewa był w Sielsowiecie Kościuczyk Jan, Konstanty Zagórski. Wszyscy nosili w klapie czerwony sztandar. Na szczęście oni nikomu żadnej krzywdy nie zrobili, a ten Kościuczyk to jeszcze przyszedł do ojca i ostrzegł go. Powiedział: Przygotuj się, bo już cię wywiozą. On z ojcem dobrze żył, bo jciec najmował go do pracy. To był biedny człowiek. Gospodarstwa nie miał. Mój ojciec to ~~by~~

był ochotnik wojenny z 1920 roku. To chcieli nas wywieźć w 1941 r., ale nie zdążyli, bo parę dni później Niemcy ich zaatakowali. W domu jednak wszystko już było popakowane, szczególnie suchary i odzież. W workach to było. Nie chcieliśmy uciekać, bo nie mogliśmy. Było nas przecież 8-mioro dzieciaków. Oczywiście można by było uciekać do lasu, gdyby to było wiadomo, że to tylko na kilka dni, a przecież wcale na to nie zanosilo się. To wyglądało, że ich pobyt tu będzie trwał jeszcze bardzo długo. Mogliśmy się ukryć na naszych bagnach. Tam to można na oczekach i pułk wojska rozlokować i nikt nie znajdzie w tych trzcinach, chyba że wie gdzie szukać.

Był też taki gajowy Zagórski, zamożny gospodarz, to jego i wszystkich gajowych wywieźli. Oczywiście, niemal zaraz po przyjsciu Sowietów zaczęła się konspiracja. Nie było mnie wtedy w niej, bo byłem jeszcze za mały, ale słyszałem przecież. W naszej wsi przed wojną był przecież Związek Strzelecki. Jego komendantem był kierownik szkoły. Nic więc dziwnego, że pod jego kierownictwem Związek od razu zszedł do podziemia. W organizowaniu konspiracji pomagali mu Jan Dziejma "Grom" i jego brat Emilian "Grzyba". Jan już nie żyje. Nie wiem co oni robili bo jeszcze za mały byłem, żeby mnie dopuszczano do konspiracyjnych tajemnic, ale coś się tam działo.

Pamiętam jak jeszcze w 1939 r. razem z kierownikiem krzyże zdejmowałem w szkole. Zostawił mnie wtedy po lekcjach i zbijałem z nim skrzynkę, do której schowaliśmy wszystkie krzyże, portrety Piłsudskiego i Mościckiego. Schowaliśmy to wszystko na strychu, gdzie było pełno rupieci. Kierownik powiedział, że jeszcze to kiedyś powiesimy spowrotem. Niestety, orły z koroną to już ja sam wieszałem, jak wróciłem z Niemiec w 1945 r. Pierwsze co zrobiłem, to właśnie poszedłem do szkoły i powie-

siłem w każdej ^{kl}ksie krzyże i orły z koroną. Nie wiem jak długo wisiły. Oczywiście jak przyszedłem to jeszcze lekcje nie odbywały się. Szkoła była pusta.

W szkole mieliśmy zajęcia, które nazywały się: Terechaprotiw wazdusznajacabarona. Rosjanka, która je prowadziła, mówiła, że to na wypadek, gdy będzie wojna z Niemcami. Jednakże, gdy Niemcy uderzyli na Rosję to było dla wszystkich wielkie zaskoczenie. wojna wybuchła o świcie, a już gdzieś o godzinie 9 czy 10-ej było u nas pełno Rosjan. Kopali rowy i różne umocnienia polowe. Byłem wtedy u kolegi w Konowalach to widziałem co to z nich za wojsko. Na wzgórzu x, między Konowalami a Pańkami stała bateria dział ciężkiej artylerii. No i żołnierze z tej obsługi przyszli do ojca kolegi napić się wody. Mleka może chcecie - zapytał się gospodarz. Aśka jest? - No to pokarmik ich i poszli. Niedługo potem usłyszeliśmy warkot samolotu. Zaraz przyszło do nas dwóch Niemców. To byli spadochroniarze. Oczywiście rękawy mieli pozawijane, mundury pod szyją porozpinane, na hełmach maskowanie. - wody napić się - powiedział jeden z nich czystą polszczyzną. Mleka panowie może chcecie - zaproponował gospodarz. Jeść może chcecie? - A nie, dziękujemy. wyszli i poszli w kierunku tych dział. Zaraz usłyszeliśmy seri z erkaemów, to Niemcy pruli po tych działach. A Rosjanie zaczęli czym prędzej ciągniki do tych dział i usiekli. I w ten oto sposób dwóch Niemców przepędzi~~li~~no całą baterię sowieckich dział.

Jak Sowieci zjawili się u nas i zaczęli kopać te rowy, to pozabierali we wsi łopaty i wiadra. Raptem znikli. Zaległa ci-sza. To ludzie zobaczyli, że ich nie ma i poszli tam, na te rowy pozabierać swoje łopaty i wiadra. A te cholery byli w lesie i zaczęli pruć po tych ludziach. Jeden człowiek zginął. To było dwa dni po wybuchu wojny. wojna zaczęła się w niedzielę,

a to było we wtorek, w dzień. Ja też tam byłem i 8-miu nas chwycili. Trzymali nas pod konwojem z tymi sztykami. Patrząc idąc do nas z Taszczą swoje maximy. Dowódca pomachał do naszego konwoju furazerką. Pomyślałem sobie: To już po nas. Koniec, ale wzięli nas i puścili. A strzelali po wsiach jak jasny piorun.

Niemcy jak przepędzili Ruskich to we wsi zjawili się po jakichś dwóch tygodniach i to samochód zabłądził i przypadkiem zajechał do wsi, bo jechali szosą na Jeżewo i nie wiedzieli, że tam jest most zerwany. Jeden rozmawiał po polsku, więc wytłumaczyłem im, że muszą ~~jechać~~ cofnąć się do Choroszczy i tamtędy jechać na Żółtki. Dopóki władza niemiecka ukształtowała się to kilka miesięcy upłynęło. Przez kilka miesięcy nie było więc żadnej władzy. Dopiero później w Choroszczy zrobili amstkomisariat, pod który podlegaliśmy. Sołtysami zostali wszyscy sołtysi, którzy byli nimi przed wojną 1939 r. Tych co byli za Sowieców, to raczej goniono. U nas nikt im krzywdy nie zrobił, ale gdzie indziej to donosy robili do Niemców i ci już odpowiednio zajmowali się takimi. Cóż, niektórym, szczególnie biednym to sodówka do głowy uderzała. U nas niektórym też należało się dać w tyłek, ale nasi machnęli na to ręką, bo inaczej nie można było, bo przecież jakby ktoś doniósł Niemcom, to śmierć czekałaby takiego a to byłaby za surowa kara. Ale gdy utrwaliła się władza niemiecka to utrwaliło się podziemie i odrobiliśmy ~~strat~~ ~~ty~~ zaległości.

Za Niemców to był ład, skład i porządek, bo chłop jak oddawał kontyngent to dostawał od razu lemiesz do pługa, podkowy dla konia. To już było wliczone w kontyngent. Wysokość kontyngentu była śmiechu warta. To było żadne obciążenie. Za Ruskich, kontyngenty oczywiście też były. To pierwszy raz widziałem takie porządki. To było w 1940 r. Mieliśmy chyba 3 ha piasku to mu-

sieliśmy oddać 70 kg żyta. Musieliśmy oddać je jeszcze w czasie żniw. Piorunem. Przy okazji chciałem poszukać na rynku książek, bo dostać ich nie było można. Książek do nauki. A potem pomogłem ojcu zanieść to nasze zboże. To było w Białymstoku, na skarpie koło kościoła św. Rocha. Cały czas zastanawiałem się, gdzie tutaj jest spichlerz. To jeszcze przyszła kobieta, wsadziła do worka ze zbożem szprycę. Sprawdziała w ten sposób jego wilgotność. A ja zachodziłem w głowę, gdzie tu można to zboże wysypać. Ojciec mówi: No to niesiemy. - Mieliśmy tego dwa worki. Zarzuciłem worek na plecy i idę za ojcem. Ku mojemu zdumieniu kazali nam to wszystko wysypać na piasek, tak jak kartofle się sypie. Ludu kochany! - pomyślałem sobie - to po co to wilgotność zboża mierzyć. No cóż, jak oglądam program, to widzę, że u Ruskich do dziś w ten sposób przechowuje się zboże.

Kontyngenty za Niemców nie były wysokie. Spokojnie na chleb wystarczało. Dzięki podziemiu to i wieś i miasto nie były głodne bo nie było szpili, których likwidowaliśmy. Przecież jak przychodziła noc to żarna, przerobione z kieratów, wprawiano w ruch i mielono zboże. Uboje odbywały się. Wszystko to odbywało się nocą i nikt nie poszedł z donosem. Chodzenie na żandarmerię było przecież karane śmiercią, a przecież Niemcy za donos płacili litr wódki co było dużą pokusą. Co prawda kilku musieliśmy przywołać do porządku. Szczególnie sołtys wyrósł tak ponad ludzi, że orzekł, że komisarz jest w Choroszczy y on jest komisarzem we wsi. Tak mu odbiła szajba, że chłopów po mordzie łał na zebraniach. No i w końcu^u chłopcy przyszli w nocy, położyli go na ławę i zrobili mu szkolenie obywatelskie. Sołtys zmienił swoją ~~na~~ postawę o 180 stopni. Teraz. jak żandarmi przyjeżdżali do niego to jego zadaniem było ich ugościć odpowiednio, w tym czasie kto

miał coś trefnego to zdążył ukryć. To potem jeszcze w całej wsi zorganizowaliśmy pieniądze od chłopów dla sołtysa, da jego dyspozycji, bo sam nie byłby w stanie pokryć wszystkich wydatków z związanych z goszczeniem Niemców. Jednym słowem miał taki jakby fundusz dyspozycyjny. we wsi to była podwójna władza. Nikt nie szedł ze skargą do Niemców. wszystkie sąsiedzkie porachunki to były załatwiane przez organizację, przez placówkę. Jej dowódcą był "Grom", jego zastępcą to był chyba Stanisław Gajdowski, bo brat "Groma" - Emilian miał służbę kurierską. Był łącznikiem, Mało kiedy był w domu. Jeździł aż gdzieś do Grodna. Czasami nie było go po kilka dni w domu. Gajdowski to już nie żyje. Do organizacji należał też mój ojciecⁱ. Był on z ramienia organizacji drugim sołtysem we wsi, obok tego, którego wyznaczili Niemcy. To właśnie on rozstrzygał wszelkie spory między sąsiadami, spory cywilne. Jego pseudonimu nie pamiętam, bo przecież nie używaliśmy go w domu. Na imię miał Jan. Z Kruszewa należeli też: Kajduczyk Stanisław, Franciszek Krysiwicz - mój kolega /byliśmy w jednej drużynie w dywersji/, Aleksander Sokół, Saturnin Korpacz, Adolf Rędkowski - jeszcze żyje, Franciszek Ciereszko i jego brat Dominik i zięć tego niemieckiego sołtysa - Antoni Naumnik. Wiem, że drużyn było pięć. Ja należałem do drużyny w Rogowie. Dowódcą tego plutonu dywersji był Antoni Turowski z kolonii Rogowo. Ten pluton dywersji był na całą placówkę. Obsługiwaliśmy nie tylko Batszczewo, Kościuki ale sięgaliśmy i do Starosielc. Całą gminę obsługiwaliśmy.

Do organizacji wstąpiłem w 1942 r, 9 lutego. Wciągnął mnie do niej kierownik szkoły świerniak "Zew", ~~który~~ który był organizatorem całej placówki. Potem przeniesiono ~~go~~ go do Białegostoku, gdzie pracował w wywiadzie. Ktoś go jednak zadenuncjował. Gestapo podjechało do niego na ulicy Lipowej. Wykręcili mu ręce i wrzucili do samochodu. Zanim jednak dowieźli go na miej-

sce, to już nie żył. Połknął ukryty w ubraniu cyjanek potasu. To było w 1943 r. On to właśnie odbierał ode mnie przysięgę, w szkolnej klasie. Razem ze mną było jeszcze dwóch takich delikwentów starszych ode mnie o rok: Jan Bołtruczyk i Jan Sokół. Szkoła była przecież pusta, bo żadne zajęcia nie odbywały się. wszyscy pracowali na gospodarce u rodziców. Początkowo byłem łącznikiem. Przyjeżdżali do mnie łącznicy z Białegostoku i przywozili przesyłki, które oddawałem "Zewowi". Od niego z kolei nosiłem meldunki - i odwrotnie - do Franka Sakowicza, do Rogowa. Gdy wiosną 1943 r. zostałem przeniesiony do dywersji to już to się skończyłem. Na ten przydział nie miałem wpływu, ale to mi oczywiście odpowiadało. Dowódcą tego plutonu był Anotni Turowski, "Groźny". Jego członkami byli: jego brat, Franek Sakowicz "Zbik", Czesław Grzybko, Lucjan Kossakowski i jego brat - obaj z Izbiszc. Tak, że była to raczej drużyna 7-miogobowa. Na nasze potrzeby była to siła w zupełności wystarczająca.

Pamiętam, że w 1943 r., jakoś tak w jego początku, w Starosielcach i Oliszkach była duża wpadka. Niemcy nabrali do cholery ludzi. To była zima. To wtedy poszliśmy do Starosielc i zlikwidowaliśmy dwóch konfidentów, którzy spowodowali tę wyspę. Zbiórkę urządziliśmy przed akcją. Tam już czekała na nas broń krótka. Oddaliśmy dokumenty i ruszyliśmy na zadanie. Po akcji broń zdaliśmy i rozeszliśmy się do domów. Zaden z nas nie wiedział dzięki temu systemowi, gdzie jest ta broń. Mieliśmy nawet dwa erkaemy polskie i do nich 6 magazynków po 20 sztuk amunicji w każdym. Do Starosielc to oczywiście erkaemów nie braliśmy. wystarczyły same pistolety i granaty. wyruszyliśmy w dzień, tak żeby wieczorem być na miejscu. Turowski wchodził do domu z jeszcze jednym żołnierzem i likwidował szpicla. Drugiego również za bił. Obaj mieszkali niedaleko dworca.

Było też tak. Do Bruszewa przyjechał kominiarz. Przez Pańki przyjechał do Kruszewa. Zwykły kominiarz. U nas we wsi rozkwaterował się u kolegi z 10 p.uł. Obaj w nim służyli jak się okazało. Ojciec chodził tam często na pogaduszki. Jednak kominiarz zaczął się dziwnie zachowywać. Gdy rano się mył to wypraszał gospodarza z pokoju, bo to mówił, że musi się podmyć, to tamto. Dziwne to jakieś było. Gdy ojciec spytał go dlaczego on tak chodzi po wsiach tutejszych, to odpowiedział: Ja muszę być jak najdalej Niemców. Noż cóż. Było to logiczne. Sołtys jeszcze sprawdzał jego dokumenty. Stało w nich, że jest kominiarzem, wszystko więc niby było w porządku. No i chodził po naszej wsi. To było latem 1943 r. Co mnie jednak zastanawiało, to jego sposób ubierania się. Chodził w bryczesach - to nic dziwnego, bo taka moda była, w podkoszulce, też w porządku, ale na nią nałożoną miał jeszcze marynarkę, zapiętą na ostatni guzik. Coś tu nie jest tak - myślałem sobie. Wszyscy chodzili przecież rozebrani. Upał był. Kominy czyścił w ten sposób, że najmował chłopców, którzy to za niego robili. A lubił popić. Tatetk, ty zrób tak - mówię do ojca - że jak on już będzie podpity, to przyprowadź go do nas do domu i postaw butelkę. Ja przyjdę do domu, będę udawał pijanego, usiądek obok niego, będę się o niego pierał, i może wymacam coś. - No i ojciec tak zrobił. Przyszedłem i zacząłem udawać pijanego. Usiadłem obok kominiarza, chwijąc się oparłem się o niego. W kieszeni nic nie miał. Przesiadłem na drugą stronę. Oparłem się. Też nic nie miał w kieszeni. Myślę sobie: Co tu jest. Cały czas piliśmy tę wódkę, ja to raczej udawałem, bo młody byłem, ale kominiarz to już nieźle miał w czubie. W końcu jednak libacja skończyła się i chcę go odprowadzić. Pomyślałem sobie, że broń ma pewnie za paskiem, bo gdzie?. Chciałem go wziąć pod rękę, ale on był bardziej cwany ode mnie, więcej udawał jak ja. To on

wziął mnie pod rękę. Większy cwaniak jak ty Antek - pomyślałem sobie. Idziemy. Ciemno jak cholera. Wiedziałem gdzie kamień jest. Potknę się o niego, będą padał i ręką przejadę mu po brzuchu i wybadam go - pomyślałem sobie. I tak się stało. Wymacałem że miał coś za pasem. Nie wiedziałem tylko czy pistolet czy rewolwer. Teraz powstał dylemat: Czy to człowiek, który ukrywa się i dlatego ma broń czy to szpicel? - Stuknąć go od razu to żadna filozofia. Zameldowałem więc o wszystkim Gajdowskiemu. To zrobimy tak - mówi do mnie - Jak będzie przechodził z Krusze wa do Izbiszcza, to po drodze będzie przechodził przez las. Tam trzeba będzie go skontrolować. I tak zrobiliśmy. Ojciec przyszedł któregoś dnia i mówi: Jutro odjeżdża. Do Izbiszcza idzie. To nocą pojechałem do Rogowa i umówiłem się z chłopakami, żeby czekali. Do Rogowa było 7 km. Wziąłem więc rower od chłopaka, który był gońcem u sołtysa, bo każdy sołtys miał takich gońców trzech czy czterech i każdy z nich wyposażony był w rower. A ten gońca był członkiem organizacji. Nie miałem więc kłopotów z wypożyczeniem roweru.

~~xxxx~~ Po uzgodnieniu wszystkiego z chłopakami wróciłem do domu, a tu ojciec mówi do mnie: Niedobrze. Wypili ówiartkę i jego gospodarz będzie go wiózł. - No i koniec. Gdyby to byli chłopcy z Białegostoku to byłby żaden problem. Nikt nie znałby ich tu, ale tak to pewna dekonspiracja, a zresztą i tak już byłby jeden świadek, który wiedział co się stało. Mówię więc do zięcia sołtysa, naszego człowieka: Kurwa mać, ratuj sytuację. - A sołtys przydzielał konie, tym co nie mają. Ten chłopak, co ja od niego wziąłem rower, właśnie nie miał tego konia, a miał trochę ziemi. Mówię więc do tego zięcia: Ty daj konia dla tego Kostka, niech orze te kartofle, niech robi cokolwiek. - No i Kostek dostał konia. A jeszcze w tym czasie u nas koń się skaleczył. Poleciałem więc do tego Kostka i mówię do niego: Ty daj

mi tego konia, ja dzisiaj pojedę do amstkomisarza, bo muszę do apteki zajść. Koń nam się skaleczył, ale Kostek wiedział o co chodzi. Na pewno domyślał się. Pojechałem czym prędzej, ale nie prosto na Izbiszczce, żeby nie natknąć się po drodze na tego kominiarza, tylko okreśną drogą przez Kohowały do tego lasu. Znalazłem chłopaków i czekamy na nich. Było nas czterech. Patrzymy idzie. Gdy dochodził już do lasu rozpiął marynarkę. A to skórwysyn cwaniak. Ty idź, bo tobie już tutaj pizdziec, bo w wiosce powiedzą, że ty tu byłeś - powiedział do mnie dowódca - Jedź ~~xx~~ tam, gdzie masz jechać. No to ja na rower i pojechałem do Choroszcy, a że spóźniłem się to przed siedzibą komisarza położyłem rower na ziemi i ^oryzkręcikiem go. Reperuję go, bo po drodze psuł mi się. Robiłem to tak, żeby wszyscy z amstkomisariatu widzieli, że tu jestem. Załatwiłem wszystkie sprawy, do apteki zaszedłem i jakby nigdy nic wróciłem do domu. A chłopaki tego kominiarza rozebrali do naga. Nic jednak nie znaleźli. Oczywiście miał pistolet - "Nagan". Później, jak się przekonałem, to co szpicel, to miał właśnie "Nagana", bo to jeszcze jak Ruskich rozpieprzyli, to tych pisotletów mieli do licha. Co mieli z nimi robić. ~~Kxxx~~ Dowódca pomyślał jednak trochę i mówi: Chłopcy przejdyjcie jeszcze raz buty. Ale dokładnie. - Tylko to powiedzi dział, ten kominiarz, całkiem nagi, rzucił się do ucieczki. No to już nie było na co czekać i zadźeli do niego strzelać. Trafili go. Dokładnie sprawdzili buty. Okazało się, że w cholewie była, która była podwójna, tkwiło pozwolenie na broń wystawione przez gestapo. I "Grzyba" mówi, że u nas wsyp nie było. Bo ktoś czuwał nad tym.

Później we wsi volksdeutschka otworzyła sklep. Takie zewzolenia na sklep to Niemcy wydawali tylko dla swoich. Ona nie była od nas. Była tu obca. Specjalnie nam nie przeszkadzała, ale zastanowiło nas, że co tydzień na posterunek jeździła. Do Chorodź-

czy. W każdą sobotę. Mówiła, że jej narzeczony tam jest. No cóż Normalna sprawa. Syna miała w moim wieku. Któregoś razu szedłem wieczorem i poświęciłem latarką po ich domie. Na ganek wyskoczył jej syn. W rku trzymał "Nagana". Odezwałem się do niego, bo może by wystrzelił do mnie, ale znaleźliśmy się dobrze, bo razem do dziewczyn chodziliśmy. Zameldowałem więc do dowódcy. O-rzekł, że nie trzeba jej likwidować, tylko jak będzie jechać, to trzeba sprawdzić jej dokumenty. Nie chodziło więc o wykonanie wyroku. Jechała szosą do Choroszczy. Z tego względu, że mogło tak się zdażyć, iż tą samą drogą mogła jechać któraś z dziewczą^t którą ojciec ~~był~~ na przykład posłańcem przy ~~w~~ sołtysie i miał rower. Mógł więc zamiast siebie wysłać w drogę^e córkę. A chłopak^e ki, którzy czekali na tę volksdeutschkę na szosie nie znali jej W razie czego więc mogli zatrzymać niewłaściwą osobę i byłaby chryja. Znowu więc na mnie spadło zadanie wystawienia jej. Chłopaki skryli się w lesie koło Rogowa, ja zaś stałem na górze i obserwowałem drogę. Umówiłem się z chłopakami, że jeżeli przejadę przed nimi nie zatrzymując się i nie rozglądając się to znaczy, że to ona jedzie, jeżeli natomiast zatrzymam się przy nich i będę coś robił przy rowerze, to znaczy, że trzeba tę ko-bietę przepuścić. No i tak się stało. Gdy zobaczyłem ją wska-^{jak jedzie na rower} czyłem na rower i przejechałem przed stanowiskiem chłopaków. Zatrzymali ją. Baba jak to baba. Sprawdzili jej torebkę, a tam na wierzchu "Nagana", a pod spodem dokumenty konfidenta gestapox i pozwolenie na broń. Kropnęli ją na miejsce.

W tej sytuacji chcieliśmy kropnąć i jej synka, ale ten wsiad na rower i uciekł. Chłopaki z siatki, ja też, pilnowali ich domu na okrągło - dzień i noc. wrócił dopiero po jakichś dwóch miesiącach, ale w obstawie 15-tu białoruskich żandarmów i 3 Niemców. Z taką obstawą to woleliśmy nie zaczynać. Można by więc

przypuszczać, że też był konfidentem. Później dowiedziałem się, że po wojnie ktoś rozpoznał go w Olsztynie. Był stopniem porucznika UB. Wiem tylko, że na imię miał Jufek. Nazwisko jego znać może tylko ten gospodarz, u którego oni mieszkali. To spytam go, jak będę w Kruszewie.

Pierwsze moje zadanie to było takie. W lutym przysięgę składałem a to było w końcu marca albo na początku kwietnia. w Choroszczy był obóz jeńców rosyjskich. Tam gdzie szpital. Za zadanie dostałem rozpoznanie budynków wewnątrz obozu. Miałem dowiedzieć się, co w którym się mieści, ilu wartowników, jakie uzbrojenie. Zadanie było o tyle ułatwione, że z Nowosiółkx woziło się do obozu piasek, cement- gdyż były tam ciągle jakieś remonty. Dostałem też kontakt, na gościa z Białegostoku, który miał na żwirowni, gdzie na fury ładowaliśmy żwir, notować kursy fur. Miałem zgłosić się do niego i podać hasło. Uzyskałem prawidłowy odzew. Wszystko się zgadzało. Zacząłem więc od wartowni. Raz pojechałem, ale nie udało mi się nic dostrzec, bo okna wartowni były zamalowane białą farbą a ja siedłem obok fury. Nie miałem więc jak tam zajrzeć. Zrobiłem więc jeszcze jeden kurs. Tym razem jednak stanąłem na furze, na żwirze. wysokość była odpowiednia i z góry dostrzegłem przez niezamalowaną ~~powierzchnię~~ część szyby, że w kozłach stało 5 kb, 1 erkaem i wisiał 1 empik. W bramie stał wartownik z drugim empikiem. Wiedziałem więc, że jest 8-miu wartowników. Jako, że nie mogłem tak robić cały czas bo było to za duże ryzyko, to rozejrzałem się wśród jeńców i rozmawiałem z takimi co biedniejszymi. Unikałem w ten sposób ryzyka natknięcia się na nadzorców, o których wiadomo było, że wysługują się Niemcom. Pytałem więc tych zwykłych żołnierzy: Szto jest w etom domie? - i tak dowiedziałem się co trzeba. Gdy dniówka się skończyła to już wszystkie zabudowania miałem rozszefrowane. Wszystkie informacje przekazywałem na bieżąco dla

tego gościa na żwirowni, który notował kursy furmanek. Efekt tej mojej pracy był taki, że w dwa miesiące później przyleciały sowieckie samoloty i zbombardowały ten obóz, co prawda bardzo niecelnie. Po nalocie jeden z samolotów zniżył się i ostrzeżał z karabinów wieżyczki strażnicze obozu. Wykorzystując zamieszanie, jakie wybuchło w obozie w czasie nalotu, duża grupa jeńców uciekła. Część z nich wyłapano później. W czasie nalotu bomby upadły na łąki, tak że nikt nie zginął.

Zacząły się wywózki do Niemiec na roboty. Któregoś razu zrobiliśmy więc zasadzkę na młodzież, która wybierała się tam. Zasadzkę urządziliśmy na Babiej Górze, niedaleko Choroszczy. ~~Trzech~~ Trzech chłopaków, ubranych w polskie mundury - chłopcy byli z Zółtek, żeby nikt ich nie poznał - zatrzymało młodzież, która jechała na furach i kazali zawracać do domu, a w tym czasie, my, z siatki, siedzieliśmy w zbożu i pokazywaliśmy lufy karabinów, żeby myśleli, że jest ^hmas bardzo dużo. Jeszcze chłopaki z Zółtek wystrzelili trzy razy z "Radomów" na postrach, żeby nie było za dużej lipy i błyskawicznie wycofaliśmy się. To Niemcy do późnej nocy buszowali w całym terenie. Nawieźli moc wojska i obławę zrobili, a my już od dawna byliśmy w domach. W Choroszczy amstkomisarz kazał porobić dookoła swego urzędu zasieki z dęszu kolczastego. Kompania Wehrmachtu chyba przez dwa tygodnie stacjonowała w Choroszczy. Sekretarz amstkomisarza był podobno w organizacji i powiedział, że Niemcy orzekli, że to byli polscy spadochroniarze. Tak, że bałaganu narobiliśmy od cholery. To było ^o lato - czerwiec 42 albo 43 r.

Również latem 42 r. nasz pluton dywersyjny rozbił mleczarnię w Izbiszczach. Zabraliśmy całą furę masła, które potem rozdaliśmy dla tych gospodarzy, u których mieliśmy kwatery. Zabraliśmy też urządzenia z mleczarni. Po wojnie komuś je przekazał~~li~~śmy, ale dokładnie nie pamiętam.

Jak Niemcy uderzyli na Rosję w 1941 r. to we wsi i okolicach

zostało wielu sowieckich żołnierzy, którzy pracowali u miejscowych gospodarzy na gospodarstwie w zamian za wyżywienie i dach nad głową. W Kruszewie było takich trzech chyba i między innymi ojca kuzyn miał takiego parobka. Żołnierz ten miał już tak pod 30-tkę. Był już 1943 r. Niemcy dostali już pod Stalingradem, pod Kurskiem i dla tego jeńca rogi urosły. Zamiast pracować, to gospodarza zaczął wpaść po pysku. Mało tego, wygonił go z łóżka i zajął jego miejsce przy jego żonie. Jak gospodarz próbował protestować to zaczął mu grozić, że już niedługo znowu ich władza tu przyjdzie i was wsiech razstrielajut. To co mnie zastanawiało, to to, że upał, spiekota, a Ruski chodzi w watówce. Narzucał ją na ramiona. No i zameldowałem o tym Gajdowskiemu. O, to ja wiem o tym - odpowiedział - on nie tylko w watówce chodzi, ale w lesie zbiera tych żołnierzy i jakieś szkolenie odbywa się. Ty sprawdź co on ma w watówce - polecił mi. No, ale to nie takie łatwe - podejść i sprawdzić. Myślałem co tu zrobić. Będzie szedł kąpać się to stanę na watówce nogami, będę gniótł i wyczuję, czy ma pistolet czy nie. Tak zrobiłem. Kąpał się a ja najpierw nogami sprawdziłem - nic. Podniosłem za kołnierz - nic nie ma. Ten jak zobaczył, wyskoczył z wody błyskawicznie. Myślałem, że mnie uderzy. Ale nie zrobił tego. Zameldowałem o tym Gajdowskiemu, a ten złożył ~~mi~~ raport "Gromowi". A ten, ku naszemu zdumieniu, znalazł wymówkę: To Ruski, oni już są niedaleko, to niech to już będzie tak jak jest. - Cholera niedobrze. Pojechaliśmy z Gajdowskim do Pszczółczyna, za Narwią. Tam była placówka NSZ-tu. O tym nawet sam "Grom" nie wie do dzisiaj. Mówię o tym po raz pierwszy. Gajdowski miał z nimi kontakt, bo przed wojną był narodowcem. Ja poczekałem w Łódce, a on poszedł do nich i załatwił sprawę. Umówił się na konkretny dzień. Mieli przyjechać przez Radule. On pojechał pod Radule, gdzie miał czekać na nich, a ja z ojcem umówiłem się, że będziemy mieli na oku tego Sowietę. Do 10-tej w nocy pilnował ojciec, a potem ja.

Przyszło pięciu chłopaków. Gajdowski poszedł do domu. Resztę ja miałem załatwić. Jest - mówię - nigdzie nie wychodził. Chłopaki poszli, obszukali. Nie ma. Cholera. Panowie - mówię - bo źle się skończy. Musi być. - Chłopaki poszli jeszcze raz i tym razem przejrząsnęli dokładnie. Okazało się, że nakrył się drewnianą baleją. Był niewysoki, szczupły to skurwysyn zmieścił się. Na strychu schował się. Chłopaki wyprowadzili go za wieś, pod szkołę i kazali zdjąć watówkę. Rosjanin podając ją chłopakowi nagle uderzył go i rzucił się do ucieczki. No to nie było już co się zastanawiać. Stuknęli go. To baby jeszcze dziwiły się na drugi dzień, że chciało się im zdejmować mu watówkę i nakrywać na oczy. A chłopaki dokładnie zbadali tą watówkę. W rękawie miał wszytą legitymację. Pisało w niej: Narodnyj Komissariat wnutriennych Dzieł. Kapitan. Gdyby tak został do przyjścia swoich, to pół wsi by nie było, bo przecież musiałby się wykazać, że on tu na darmo nie żarł chleba. A przecież był tu tyle lat, więc tylko obserwując połowy rzeczy domyślał się. /Sprawa nie do ujawnienia - J.K./.

Gajdowski był w stopniu sierżanta zastępcą "Groma". Nie miał przede mną tajemnic. Przynosił mi nawet gazetki eneszetowskie. To był patriota i solidny człowiek. Niestety, już nie żyje. Z narodowcami mieliśmy bardzo dobre kontakty. Pełna współpraca. Jak kontaktowaliśmy się z ludźmi z Babina czy Złotorji, to nie przedstawiało dla nas różnicy, czy to byli eneszetowcy, czy akowcy.

"Grom" to za delikatnie podchodził do tych spraw. w Chorosz- czy był żandarmem Polak - Kalinowski. I jego nie zlikwidować, to już prawdziwy błąd. Strzelał do ludzi w biały dzień. Nahajał. U nas w wsi na przykład zastrzelił podchorążego z Kobylina. Kłosowski nazywał się. Chowałem go na cmentarzu. Potem rodzina zabrała jego ciało. To był czerwiec. Lato. Akurat ~~złoty~~

na polu przy ziemniakach robiłem. Zielsko trzeba było wyrywać. Patrzę z Radul przypłynęła łódka. wyszedł z niej jeden i poszedł. Schował się za górkę. Niedługo potem ruszył w ślad za nim drugi mężczyzna. Odległość wzrokową zachowują - zauważyłem. Oo, to ~~xx~~ nie są zwykli ludzie. Przewoźnik zepchnął łódkę do rzeki i odpłynął. Po chwili słyszę strzał. Jeden, drugi, trzeci. Cisza. Po chwili czwarty. Pomyślałem sobie: pierwszy musiał przejść, drugi nadzieją się. Po chwili zza górki wyłoniła się bryka żandarmów. Okazało się, że to właśnie Kalinowski wtedy nadjechał, zauważył tych dwóch i do najbliższego zmierzył się i za czwarty^m razem trafił go, albo trafił go za trzecim razem a potem jeszcze dobił rannego. Myślę, że ten co zginął padł ofiarą zwyczajów panujących w okolicach Kobylina. U nas jeździło się w jednego konia, natomiast w jego stronach bryczki zaprzęgano w dwa konie. U nas w ten sposób jeździli tylko żandarmi, tak więc już z odległości 2 km można było rozpoznać czy jedzie swój czy wróg. Natomiast on pewnie zorientował się w ostatniej chwili i zaskoczony rzucił się do niepotrzebnej ucieczki. Kalinowski widząc uciekającego mężczyznę bez zastanowienia zaczął strzelać do niego

W tym czasie niedaleko od nas operowały już duże oddziały partyzanckie. Ile ja się naprosiłem, żeby pozwolili mi pójść do takiego oddziału. A gdzie, nic z tego. ~~Ranyżak~~ Do oddziału szli tylko ludzie spaleni. No to, żeby być takim spalonym, pomyślałem sobie, że na ochotnika zgłoszę się na roboty do Niemiec i ucieknę z transportu. Wtedy będę spalony i będą musieli wyrazić zgodę, na moje pójście do lasu. Ani "Grom" ani Gajdowski za cholere nie chcieli nic o tym słyszeć. Ty więcej roboty robisz, jak w oddziale. Tam to będziesz leżał do góry brzuchem i jeszcze trzeba ci będzie dostarczać jedzenie - tłumaczyli.

Oczywiście przechodziliśmy też zwykłe szkolenie wojskowe. W naszym plutonie było nas 8-miu, każdy miał pistolet i każdy

pistolet był inny. Trzeba było nauczyć się rozkładać i składać je. Strzelanie mieliśmy. Cwiczenia prowadził Turowski Antoni. Był przedwojennym starszym sierżantem. Cwiczenia odbywały się różnie. Czasami dwa razy w miesiącu, a czasami raz na dwa miesiące.

U mojej ciotki ~~k~~ w Białymstoku ~~na~~ kwatrowali Niemcy, którzy likwidowali getto. Brat dowódcy plutonu miał chyba z nimi kontakt. Chyba sprzedawał im dolary czy coś. Chodziło o utrzymanie ~~kontakty~~ kontaktu. No i któregoś razu nasz pluton pojechał do Białegostoku na akcję. Dwa dni wtedy nocowałem u ciotki. Obstawialiśmy fabrykę Bekiera od strony chlewików znajdujących się przy ulicy Mickiewicza, róg świętojańskiej. Dostaliśmy pistolety, po dwa granaty i butelkę z benzyną. Byliśmy tam ze 40 minut. I na tym skończyła się akcja. Czy to było to słynne rozbicie tej fabryki przez białostocką AK? Nie wiem. Roku niestety nie pamiętam. wiem tylko, że było zimno, bo byłem w ciepłej kurtce. Dzięki temu łatwiej było upchać ^{i butelkę} granaty w kieszeń. śniegu już nie było na polach.

3 maja 1943 r. musiałem jechać na roboty do Niemiec. Nie mogłem wykręcić się od tego w żaden sposób, gdyż Niemcy znaleźli świetny środek, na takich, co nie zgłaszali się. Zamiast nich na roboty jechała cała rodzina. Gdy w ten sposób wysłali do Niemiec ze trzy rodziny wszyscy, których wyznaczyl sołtys już zgłaszali się bez zwłoki. Lepiej było samemu już cierpieć, niż narażać na to całą rodzinę. Nawet brat dowódcy plutonu dywersyjnego nie mógł się od tego wykręcić. Początkowo sekretarz amstkomisarza załatwiał nam odpowiednie zaświadczenia, ale potem Niemcy tak przycisnęli, że stało się to niemożliwe. Razem ze mną jechało wtedy chyba 46 chłopaków i dziewcząt z mego rocznika, bo na roboty wyznaczali rocznikami. Najpierw musieliśmy stawić się w Choroszczu u amstkomisarza a dalej to już pojecha-

liśmy pod konwojem do Białegostoku do obozu przejściowego. Mieścił się on przy ulicy Zwycięstwa, niedaleko miejsca, gdzie dziś stoi Domek Napoleona. Wtedy niedaleko stała tam roszarnia. Jeszcze dziś stoi w tym miejscu barak. Wtedy było ich więcej. Trzymali nas tam kilka dni. Lekarze sprawdzali, czy nadajemy się do pracy, czy jesteśmy zdrowi. Po kilkudniach przyjechał lagerfuhrer z Morąga i zabrał nas. ~~Krasnow~~ Trafiłem do firmy Hermanna Makowskiego, która produkowała baraki. Były wysyłane w elementach, gotowe do montażu na miejscu. Tam już nic nie trzeba było przybijać. Skręcało się tylko je na miejscu z elementów w parę godzin. Nawet okiennice były od razu zamontowane. Najgorzej to było z elementami dachu, które były ciężkie i najciężej je było załadować, bo przecież nie było u nas dźwigów. Wszystko ręcznie robiliśmy. Jeden barak, rozłożony na gotowe do złożenia segmenty, ładowało na wagony czterech ludzi. Taki segment miał wymiary: 0,70 m x 3 m. Pomysłowe to było. wysyła liśmy je do całych Niemiec, przeważnie tam, gdzie były największe naloty alianckie.

Mieszkaliśmy w barakach tuż obok fabryki. Nikt nas nie pilnował. Po kilku tygodniach razem z Turowskim postanowiliśmy uciekać~~x~~ którejs nocy. Ale do tego trzeba doświadczenia. Noc była tak ciemna, że jak w morde strzelić. Teren nie znany. Zdawało się nam, że byliśmy już wystarczająco daleko i bezpieczni w ~~xxxix~~ ^{życie}. Położyliśmy się nad ranem przespać trochę. I z Hitler jugend znaleźli nas i zameldowali. Obudził nas okrzyk: Haende Hoch!. - Otworzyliśmy oczy. Dookoła stali żandarmi z psami i konie. Od razu na miejscu skopali nas a potem zawlekli na żandarmerię. Trzymali nas tam trzy dni. Potem z Morąga przewieźli nas do Królewca. Więzienie gestapo - Rewelin. Spędziliśmy tam dwa tygodnie. Tu znowu dostaliśmy swoją porcję. I palce gnietli i różnie było: dokąd uciekał, czy do AK należy - pytali się.

Takie lanie było tylko na początku, przez kilka dni. Potem dali spokój. Zostaliśmy skazani na 6 tygodni pracy w obozie pod Tylżą, na Litwie, Nagebrit. Prowadziliśmy roboty melioracyjne stojąc po kolczana w wodzie. Tu to już była głodówka. Na śniadanie człowiek dostawał kromkę chleba grubości 4-ech pudełek od zapalek. I dwa razy dziennie mętnej wody do picia. To pół biedy jeszcze było jak było ciepło, bo wtedy esesmanów ogarniało rozleniwienie, a jak było zimno to na rozgrzewkę było lanie. "sadził sobie gwizdek w zęby i w takt gwizdów trzeba było rzucać szuflą. Za mało nabrząś - bicie. Spóźniłeś się z taktem - bicie. W obozie było 300 osób, to dziennie było 5-6 trupów. Jak wróciłem z obozu, to o własnych siłach nie dałem rady chodzić. Odsiedziałem te swoje 6 tygodni i spowrotem przyjechałem do Morąga, do tej samej fabryki.

Dostałem z domu paczkę. Pomyślałem sobie: odkuruję się i znowu ucieknę, tylko, że teraz już mądrzej to zrobię. W tym czasie jednak front przesunął się pod Łomżę. To już nie miało sensu uciekać. Ucieknę do polski, w ostrołęckie czy gdzie, będę łaził to jeszcze mnie gdzie AK kropnie, jak wezmą za jakiego zapiega. Tak pomyślałem sobie i dałem z tym spokój. Dalej klepaliśmy te baraki. W styczniu 1945 r. na dwa tygodnie przed przyjściem Ruskich zostawiliśmy te baraki i jeździliśmy do lasu. Kłody woziliśmy, drzewo i robiliśmy barykady. ^{Kopaliśmy} Rowy przeciwołgowe i strzeleckie. Obok nas był obóz, gdzie Niemcy trzymali jeńców francuskich i rosyjskich. Francuzi mieli radio i któregoś dnia podszedł do mnie w pracy Francuz - wiedział, że ja Polak, bo jak każdy miałem przyszyte na ubraniu P. Powiedz kolegom, zwrócił się do mnie - jak który był w AK, to jak się przyzna do tego Sowieta, to już do domu nie wróci.

Dzień przed wkroczeniem Rosjan sprzedawali w sklepach wszystko: chleb, kiełbasę, słoninę

ko: chleb, kiełbasę, słoninę. Wcześniej to wszystko było na kartki. Jak który miał marki, to mógł kupić ile dusza zapragnie a dostawaliśmy jakieś 35 marek chyba na dwa tygodnie. Wystarczyło to nam w zupełności na wykupienie kartek i jeszcze nam zostało. A itak zresztą brukiew się jadłox na obiad. Na śniadanie kawa, a na kolację mleko. Na 140-tu chłopą przywozili dwie ~~20~~ 20-sto litrowe bańki mleka, oczywiście już odcedzonego. Z tego gotowali nam zupę. To była raczej siwa woda a nie mleko. Na koniec był jeszcze jakiś ryż albo kasza. No to chłopaki jak nanieśli tego jadłaxxjak ze sklepów: mięsa, kiełbasy i chleba, jak się najedli to do ubikacji ustawiła się kolejka. Przyszła noc. Zimno było, bo uznaliśmy, że nie możemy palić w piecach /mieliśmy tylko drzewo/ bo rura wychodziła na zewnątrz i sypały się z niej iskry, stanowiliśmy więc świetny cel. Matzliśmy więc i siedzieliśmy cicho. Nikt nie rozmawiał. Raptem usłyszeliśmy zgrzyt czołgowych gąsienic. Wyjrzeliliśmy przez szpary między ~~xxx~~ deskami - czołg niemiecki. Ustawił się za barakiem i pruje na południe. widocznie Ruscy tam byli. No - myślę sobie zaraz jak tamci odpowiedzą, to będzie koniec. Na szczęście nic nie było. Kilka razy wystrzelił i pojechał. Rano usłyszeliśmy, że przez wiadukt jadą czołgi. śnieg pada jak cholera. Nic nie widać. Nie wiadomo, czy Ruskie czy Niemcy. Jeden z nas miał złamany obojczyk - konar w lesie zesprężynował i uderzył go - i mówi: Mnie Niemcy nic nie zrobią i Ruscy nie nie zrobią. Pójd i zobaczę. Mam zwolnienie lekarskie, ręka w gipsie sterczy na bok. - No i poszedł. Wrócił i mówi: Ruscy są. No i dobra. Poszliśmy poszukać czegoś, żeby się ubrać, coś zjeść. Na ulicy stał wojskowy samochód pełen butów ^w wojskowych, w drugim sery szwajcarskie, w innym czekolady. Czego tylko człowiek chciał. Pojedliśmy sobie, ubraliśmy się i poszliśmy na miasto poszukać po mieszkaniach. Na ulicach stało pełno fur. Na nich pierzyny, po-

duszki. Zupełnie jak u nas w 1939 r. Grzebię na furze, słyszę, dziecko płacze. Odkrywam bety: nie miało więcej ~~xx~~ jak dwa lata. Rozejrzałem się dookoła. Między furami leżało kilka trupów. Nikogo więcej nie było. Nadszedł Ruski: To twój rebionok? - spytał. - Niet, wierno giermański. - Tak broś jewo na chuj. Co miałem zrobić. Nakryłem to dziecko i poszedłem do drugiej ~~x~~ fury. Pomyślałem sobie, że może lepiej będzie po mieszkaniach pójść. Miasto było opustoszałe~~ę~~. Nikogo nie było. Idę ulicą. Na płotach wiszą ładownic~~exxxxxxx~~ ~~xxxxxx~~ obok stoją karabiny. Do wyboru do koloru. W mieszkaniach to samo: wszystko jest. Meble, w szafach ubrania. Ruski napatoczył się. Podpity już był. Jemu ubranie potrzebne nie było. Raczej coś wypić szukał, albo złota. Też bobrował po tych szafach. Znalazłem smoking, zwykłe ubranie. Ponakładałem to na siebie. No - pomyślałem - to już ubrany jestem. Nagle rozległo się: prrrr i szyby tylko posypały się. Radłem pod ścianą a Ruski wychylił się przez okno i krzyczy do swojaka: Ty job twaju mać, gdzie ty strielajesz. Ja zdzieś. - Zierkało ty imiejesz - pyta się mnie z kolei. - Niet - odpowiedzi działem. - Szčas budziet - odpowiedział. W szafie było lustro. Nastawił pepeszkę, brrrr i lustro rozpadło się na kawałki. Były jeszcze za duże, to jeszcze po ziemi potańcował lufą, aż wykroził serią odpowiedni kawałek: Bieri siebie lubi kusoki - pokazał na kawałki szkła.

Razem z Turowskim znaleźliśmy takie fajne sanki z konikiem. Do worków załadowaliśmy owsa i chleba, wzięliśmy jeszcze dwóć i jedziemy. Jedziemy prosto na południe, bo w Olsztynie jeszcze Niemcy byli. Nie ujechaliśmy jednak z 7 km gdy zaczęło się już ściemniać. Zmrok zapadał jeszcze wcześnie. Zatrzymaliśmy się na nocleg w najbliższej wsi. Nazywała się Szwenkedorf. Była tu gorzelnia, którą oblegały tłumy ruskich sałdatów. Przyczepił się

do mnie stary gość, pod sześćdziesiątkę. Sołdat. Ledwie już na nogach stoi i mówi: Dawaj Giermanku. - Atkudaż ja wazmu. Ja sam tolko szto prijechał. - A ty job twaju mać, dawaj Giermanku - uczeplik się stary. Patrzę, a on wyciąga "Nagana" i zaczyna strzelać mi koło głowy, to z jednej strony, to z drugiej. Powciski tak blisko przelatują, że ~~xx~~ ^w uszach czuję gorąco. W głowie mi huczy od huku. Całkiem ogłuchłem. Na szczęście nadszedł oficer i zabrał go w cholere. Poszedłem dać koniowi owsa i przyglądałem się jak tłumy Pijanych Rosjan kotłowały się koło tej gorzelni. Ciągłe tam sobie nalewali. To był ^{nie} oczyszczony spirytus, okowita. Jeszcze samogonem śmierdział. Ale moc miał swoją. I chyba ~~którx~~ narozlewali ten spirytus. Patrzę - w pewnym momencie dach gorzelni podniósł się do góry, buchnął niebieski płomień, usłyszałem potężny wybuch, ściany gorzelni rozchyliły się, dach spowrotem opadł i wszystko zawałiło się do środka. Któryś pewnie ogień zapalił, żeby może sobie poświecić czyco. Zginęła ich tam cała masa. Jak mrówek ich tam było koło tego spirytusu.

No i dobra. Przenocowaliśmy tam i następnego dnia ruszyliśmy w drogę. Na szosie stał trzyosobowy patrol. Gdzie? - pytają się Zdzieś - pokazujemy na niedaleki majątek. Zaprowadzili nas tam Przyszedł starszina i mówi: Może wy gałodne? Bierycie lubowo kabanczika - a świń było tam ze 200, takie po 100 kg - i budietie rabotać zdieś. Dwie niedieli a patom my zadzierzym drugich a wy pajdiotie damoj. No cóż. Siła wyższa. Kobity ^e pędzili doie Polki krowy. Wszystkiego było w bród.

No i idę przez dziedziniec a tam siedzi 8-miu sołdatów, motocyklistów. Benzyny nie mają. Ognisko się pali. Nad nim wisi rura szerokości 50 cm, wysokości 70 cm. w środku pływają duże skwary i wtkuczone jajka. Takie nieusmażone gotują się. Obok

stoją dwa niemieckie czerwone wiadra. w jednym spirytus, w drugim wódka. Na kilimie zdjętym ze ściany leży góra ciastek. Może tak ze 100 kg. No i za cholere im nie idzie to picie. Nie mogą jeść tych ciastek do tej słoniny i jajek. Może drug, ty chleb imiejesz - pytają się mnie. - Imieju - odpowiedziałem i poszedłem i przyniosłemx dwie bułki chleba z sanek. Sadzis - usłyszałem. Naleli mi pół kubka i podali. Wziąłem jak dobry dureń i już chę pić, gdy Ruski złapał mnie za rękę i mówi: A pażditie, eta spirt, nada wady dalić. - Jak dolał wody, to już kubek się zrobił. A ja jeszcze nie piłem, nie zgnętem efektów tego picia. Wypiłem to. Zimno zresztą było. Co to było dwie bułki chleba na 8-miu chłopca. Poszedłem do sanek i przyniosłem jeszcze dwie bułki chleba. Nie minęło 20 minut, gdy z jednego ogniska zaczęło mi się robić dwa, potem trzy, cztery i urwał mi się życiorys.

Ocknąłem się rano. Siusiu chce mi się. Ciemno dookoła. Słyszę chrapanie wokół. Holllera, pewnie z Niemcami do jakiejś dziury wsadzili - pomyślałem. Leżę i myślę a kac straszliwy. Pierwszy w życiu kac. Poleżałem trochę, trąbka zagrała. Ktoś zapalił katuszę i lampkę zrobioną w łusce pocisku. Patrząc: te same chłopaki. Dobrzy byli. Nie zostawili mnie na mrozie. Zabrali mnie na swoją kwaterę. Nu kak ty? - pytają mnie. Balnoj - wystękałem. - Szczas budziet charaszo - odpowiedział któryś. Ubraliśmy się i wychodzimy na dziedziniec. Tu wszystko jest jak było wczoraj. Spirytus stoi jak stał. Skwary w kotle zastygły, zamarzły. Dałem im bułkę chleba i myślę sobie: Nic z tego. Trzeba jakoś kombinować, żeby stąd nawiać.

Idę przez dziedziniec i spotkałem raptem chłopaka z mojej wsi. Co ty tu robisz - zdziwił się. - No zapędzili mnie tutaj do roboty. - Chodź ze mną, nie będziesz robił. I poszedłem za nim.

I mnie zatrzymali - mówi do mnie - ale miałem na furze trzy Ukraińki, to jestem teraz zastępcą samego lejtnanta. - To była jednostka, którą wycofali z pierwszej linii i gospodarzyli tymi majątkami. Zachodzimy. Lejtnant podpity pyta: Kto to takoj? - Drug s adnoj dierewni - odpowiedział kolega. Lejtnant podał rękę: Zdraścię, zdraście i zwrócił się do ordynansa: Dawaj pa rumkie wypijom. - O Boże, czyż ja nie trafiłem spod deszczu pod rynną - pomyślałem załamany. Znowu zanosilo się na pijaństwo. Ale słyszałem od tych co już pili, że na kaca dobrze jest coś trochę wypić. Przynieśli szklanki. Spirytus już był rozcieńczony. Usiedliśmy przy stole. Wypiłem raz, wypiłem drugi, ale pomyślałem: stop, dosyć, bo dędzie to samo co wczoraj. Trzeci raz już nie chcę wypić. Lejtnant popatrzył na mnie groźnie i mówi Ty polskij pan. Ciebie s ruskim sałdatem nie panrawitsja wypit?" No i koniec. Patrzy na mnie. Musiałem wypić. Polewają dalej, więc ja dawaj wylewać to ukradkiem po spodniach, na podłogę. Pod nogami zrobiła się już kałuża. W razie czego, jak się przypieprzą, to powiem, że się zeszczałem. No bo co innego. W końcu zażyczyli ~~na~~ sobie czaj. Ordynans przyniósł, postawił na stole. Obok ~~przyniósł~~ postawił szklanki. Potem poszedł do sąsiedniego pokoju i przyciągnął worek papierowy. Zastanawiałem się co w nim jest. A ordynans obszedł nas dookoła i ~~każdym~~ sięgając ręką do worka nasypywał każdemu pełną garść cukru do herbaty. I sprawa była załatwiona. Szkoda było czasu na łyżeczki, których było i talerze i porcelana. przecież pełno. wypiliśmy herbatę i lejtnant mówi: Nu charaszo. ~~Przez budziem plasać~~. Dziewuszki jest, harminist~~y~~ jest. Plasać budziem. - Ordynans przyprowadził kilku sałdatów i pięk^y stół, kredens, maszyna do szycia wypieprzyli za okno. Za mało miejsca było do tańcowania. Gdy zaczęła się zabawa wyszedłem na

dziedziniec. Przy wejściu stał "czasawoj" ze sztykiem. Drug, może ty zakurić imiejesz? - zapytał. - Imieju, toloko pusti nas - odpowiedziałem. - Dam tiebie adnu paczku, dwie? - Dwie i ja was puszczu, ale nie zdzies na szosu, na tyły. - A wszędzie tabliczki stoją: rozminowane 300 m od drogi. Wpadliśmy z kolegą na pomysł, że weźmiemy do konia jeszcze jedne lejzce, przedkując tym samym nasze i będziemy szli za koniem i sankami po śladach. No i dałem wartownikowi trzy paczki papierosów i puścił nas tak, żeby lejtenant nie widział. Szliśmy przez olszynę i natknęliśmy się na domek, w którym mieszkało dwóje staruszków - Niemców. Kolega jakoś dogadał się z nimi i gospodarz wyprowadził nas na szosę.

Doszliśmy do Ostródy a tu już chodzą patrole i każdego obcego prowadzą do komendantury. Już NKWD urzędowało. I nas tam zaprowadzili. Mnie do jednego pokoju, kolegę do drugiego. Przesłuchiwał mnie taki nieduży, konus cholerny. Miał obie szczęki srebrne. Wziął moje dokumenty wystawione przez Niemców i pyta się mnie: Gdzie ty rabotał? - Tam pisze gdzie ja rabotał. Coś tam popisał i wyszedł. Przychodzi po kilku minutach i mówi: Pokaži ruki. - Pokazałem ręce. - A ty job twaju mać, drug gawarił, szto ty w giestapo rabotał i žup mnie w twarz. Zaczęło się mordobicie na całego. Porozbijał mi wargi, nos. Krew płynie po twarzy i wyszedł. I jak oni potrafili zmieniać twarz. Wchodzi nie ten człowiek. Uśmiechnięty cały. Dusza człowiek po prostu. Ty izwnini mienia - poklepał mnie przepraszająco po ramieniu - Obmojsa. A w kącie stała woda, wisiał ręcznik, pewnie więc już niejednego tak obrabiał. Izwini, ja aszybku sdzieżał, s tebie charoszyj pareń, ty barołsja s Giermańcami, ty był w AK - Aaa, to tu cię boli - pomyślałem natychmiast - to to był tylko wstęp, żeby mnie zmylić i przestraszyć. - A czto

eta takoję AK - zapytałem udając głupiego. - Ty nie znajesz -
zdziwił się enkawudzista. - Pierwyj raz słyszu - jeszcze bar-
dziej zdziwiłem się. - To ty nie barońsja z Giermańcami?. -
Nu gdzie ja barońsja z Giermańcami? Ja sdzieś rabotał - tłumac-
czem - A ty job twaju mać, dabrawolec ty. Ja za tiebia krow
proliwał a ty Giermańcu rabotał-i znowu łup mnie w zęby. Mordo-
bicie od początku. I tak już do końca dnia było. w końcu puę-
cili mnie, ale wszystko co było na sankach to zabrali. Tym ra-
zem już nie pozwolił mi się obmyć. Twarz wytarłem śniegiem.
Kolega tak samo był urządzony. wszystko co było w workach: buty
chleb, czekolada - znikło. Koń tylko został. No i dalej poje-
chaliśmy.

Trafiliśmy do kolejnego majątku. Odkryliśmy kryjówkę, w któ-
rej było pełno kiełbasy, weki, garnek z miodem. Jedzenie niby
jest ale bez chleba to nic z tego. Rano pojedliśmy tej kiełbasy
ale bez chleba to nic nie najedliśmy się. Próbowaliśmy piec ją
nad ogniskiem ale nic to nie dało. W końcu ruszyliśmy w drogę
tak na wpół głodni i tego samego dnia znaleźliśmy się już na
polskiej stronie. Trafiliśmy do polskiej wsi. Zaszliśmy do ko-
biety, żeby zjeść coś. Kawałek chleba chociaż - mówię. My nie
nie chcemy tylko chleba. Panowie - mówi - nie mam ani kawałka.
O dziecku nawet nie mam. - Patrzę, a w kółeczku leży 5-cio,
6-cio letnia dziewczynka z wysoką gorączką. - Wyciągnąłem z
naszej skrytki w sankach poć boczku i daję jej: Idzie pani na
handel na wieś i kilogram za kilogram. - No i kobieta przyniosł^a
bochenek chleba. Odkroiłem połowę i oddałem jej. Mietek - za-
wołałem do kolegi, z tym miodem będziem się pieprzyć? Daj tej
kobiecie, dziecko przynajmniej wyleczy. To kobietę ta za to
wszystko poszła i przyniosła samogonki. wypiliśmy to i jedziemy
dalej.

Na skrzyżowaniu stali polscy milicjanci. Na ~~xxx~~ rękawach biało-czerwone opaski. Dokumenty - zażądał jeden. Pokazałem. Sprawdzili. W tym czasie nadjechali Ruscy. Słychać śpiew: Katusza. Amerykański studebeker. Samochody zatrzymały się koło nas. Wsiadł starszyna i podszedł. Pyta się milicjanta: Co to jest? - i pokazuje na opaskę. Milicjant po rusku ani w ząb, więc tłumaczę: Eta abaznaczejet, szto on polskij milicjanier. - No ładna - mówi starszyna - on polski milicjanier, ale pacziemu ~~xx~~ jewo na wierchu a nie majo na wierchu? i łaps za opaskę. Zerwał mu ją, przewrócił do góry nogami i tak nałożył. Tak dożno być - powiedział zadowolony i wsiadł do samochodu i odjechali. I ci milicjanci tak zostali, a my poszliśmy dalej.

Potem natknęliśmy się na Ruski oddział. Spodobają się im nasze sanki więc zamienili je na swój wóz, bo był jeszcze śnieg. Gdy spotkaliśmy następnych, to ci z kolei wymienili swoje sanki na nasz wóz, bo już śniegu wcale nie było. Mieliśmy dwa konie. Poszliśmy więc do sołtysa. Zapukaliśmy ~~xx~~ w okno. Sołtysie, nocleg za sanki - mówię. To były dobre sanki. Uprząż, konie, one to co prawda były takie, że już ledwo chodziły. No i sołtys przenocował nas. Jeszcze samogonki przyniósł butelkę. Dał zjeść. Następnego dnia ruszyliśmy w drogę. Już nic niemieliśmy ze sobą, tylko tyle co na sobie.

W sobotę przyszliśmy do Mażenina. Do domu chciało się już jak cholera. Mieliśmy do przejścia jeszcze ze 30 km. Gdy zgłodnieliśmy zaszliśmy do kobiety coś zjeść. To co ja wam tu dam - prawie odmówiła. Kolega zdjął koszulę i mówi: To da pani za tą koszulę. No to dostaliśmy zjeść i nawet butelkę samogonu. Posililiśmy się i znowu w drogę. Szosą jechały już całe kolumny sprzętu wywożonego z Prus. Wszystko jechało na Białystok. Ile samochodów jechało to żaden nie zatrzymał się. Zbliżała się

godzina pierwsza. I tak już nie dojdziemy przed zmrokiem. Wróciliśmy więc spowrotem do tej kobiety, żeby dostać u niej nocleg. Panowie - mówi do nas - weźcie butelkę wódki to was zawiozą, bo inaczej nie zawiozą. Nocóż. Teraz moja kolej. Zdjąłem koszulę i kobieta przyniosła butelkę. Wyszliśmy na szosę i kolega jeszcze raz podnosi rękę. A gdzie tam, nawet nie zwolnił. Teraz ja. Podniosłem butelkę w ręce. Kierowca jak dał po hamulcach to myślałem, że go zwaróci. Sądities, Kuda. - Dierwenia Radule. - No to pastuczicie w kabinu, to ~~jaxxxx~~ my zadierżim maszinu. - Dałem butelkę kierowcy i wiedliśmy na skrzynię. Kierowca i jego pasażer to już byli zdrowo podpici. Patrząc przez okienko a oni obaj piją prosto z butelki pod amerykańską tuszonkę. Samochód coraz bardziej jeździ wężykiem. Niedaleko domu, cholera - pomyślałem sobie - i zginę. Ale jakoś dojechałem do Radul. Zastukałem. Zatrzymali się. Spasiba. - Spasiba drug, budź zdarow - i pojechali dalej. Kolega wysiadał w Nowosiólkach. Jak przyszedłem do domu to zapadał już zmrok. Mama zapaliła lampkę naftową a ojciec mnie za rękę i prowadzi do drugiego pokoju. Co jest? - pytam. Tak jest: "Grom" i "Grzyb" w więzieniu w Białymstoku, Turowski - dowódca plutonu, w Ostaszkowie. W domu to ty lepiej nie śpij. Jako, że wszy miałem od cholery umyłem się, matka dała czystą bieliznę i poszedłem ukrywać się. Nigdy nie przypuszczałem, że tak będzie. Przecież jak dowiedziałem się potem "Grom" ile jeńców i broni dostarczył do Barzdczewa, gdy Ruskie przyszli. To tak mu zapłacili za to. Potem "Grom" i jego brata puścili bez rozprawy /czy nie na amnestię w 1945 r. - J.K./. Od tej pory "Grom" już do niczego nie wtrącał się. Po nim przejął dowództwo Gajdowski. "Grzyba" też był chyba wyłączony.

Dowództwo po Turowskim, który był w Ostaszku, przejął Franciszek Sakowicz "Zbik". Potem jak wyjechał jego następcą został "Młot", jako dowódca plutonu dywersyjnego.

I tak to skończyła się okupacja niemiecka, a zaczęła bolszewicka. Wiadomo było, że trzeba się ukrywać. Zresztą na razie na naszym terenie panował spokój. Jak inaczej mogło być, skoro najbliższy posterunek milicji znajdował się dopiero w Choroszczy i to był obsadzony przez naszych ludzi. Potem nawet jak w 1946 r. UB organizowało obławy, to goniec z tego UB przychodził ^{z PUBP w B-u} dził do nas i ostrzegał gdzie i co będzie.

Pamiętam jak jesienią 1945 r. NKWD urządziło wielką obławę na naszym terenie. Zabili wtedy Stanisława Zagórskiego. To było w naszej wsi. To było przez to, że jak była wielka ucieczka z białostockiego więzienia w maju 45 r, to pojawił się u nas taki Dagiel, który też uciekł z tego więzienia. Gość ten okazał się szpiclem i wszędzie gdzie był i nocował to zachodziło w czasie tej obławy NKWD. Wtedy masę ludzi aresztowali. Z obławy wyrwał się Szczepan Trypus. wcześniej uciekł z ^{bronią} ~~automatem~~ z Powiatówki w Białymstoku. Jak organizował się oddział "Jerzego", to poszedł do niego. Na jesieni zgrupowanie zostało częściowo demobilizowane i on wrócił i był w naszym plutonie. Tego dnia jak rozstawaliśmy się powiedziałem do niego: Idę spać, mam już dosyć. - To chodź jeszcze do Ciereszaków. - Nie, tam nie pójdę. - I tak rozstaliśmy się. A u Ciereszaków, na końcu wsi pędzili bikmber i wtedy do środka weszli ubowcy. Może nic by nie było, ale jak ich zobaczył to ze strachu rzucił "Parabelkę" za szafę. Ubocy jak weszli do ^{środek} ~~środek~~, to jeden z nich poznał go: "Szczepku to ty tu - powiedział. Wtedy pieprzył ich drzwiami, zwalił się w korytarzu, ale przed drzwiami, na podwórzu stał jeszcze jeden. Gdyby miał wtedy pistolet to by go kropnął i byłby wolny

- i cały a tak ten trzeci ubek rąbnął go z pepeszki. Dostał w łokieć i żołądek. To jeszcze z kilometr uciekał. Ludzie znaleźli go i przyszli do mnie i powiedzieli, a ja byłem wtedy na melinie. Słyszałem strzały, ale myślałem, że to może który z ruskich co obsługiwali punkt łączności Armii Czerwonej we wsi napił się i po pijaku strzela. Spałem więc dalej. I gdzieś o godz. 6-tej przyszedł do mnie jego brat i mówi: Szczepan jest ranny. A w tym czasie ludzie przewieźli go pod rzekę. Sam, biedak, przebiegł z kilometrów zanim zasłabł. To ma-ło tego. Koło szosy były okopy, w których skrył się. To, żeby w od szosy nie było go widać, to darń poukładał. Włożyłem go do łódki, jego brat jeszcze wskoczył i popłynęliśmy w kierunku Rzędzian. Raz, że musieliśmy go jak najprędzej wywieść z zagrożonego terenu. Po cichu jeszcze liczyłem na pomoc lekarza, ale widziałem, że jest już za późno. Dopłynęliśmy do połowy rzeki, patrzę - już po wszystkim. Zmarł. Pochowany został w na cmentarzu rzu w Izbiszczach. Oczywiście pogrzeb odbył się nocą. Pogrzeb załatwił przedwojenny porucznik - Edward Hodujka. To była jego specjalność. Przed wojną, gdy zdał maturę, to poszedł do seminarium duchownego. Po kilku latach rzucił seminarium i poszedł na szkołę podchorążych. Brał udział w kampanii wrześniowej. Uciekł z niewoli. Nie wiem co robił w czasie okupacji niemieckiej. Jak przyszli komuniści założył szaty kleryka i to był nasz duchowy przywódca. Święceń nie miał i grał kleryka. Wygrodził na cmentarzu specjalne miejsce na pochówek dla partyzantów. Rocznice 3 maja, 11 maja, 15 sierpnia to on organizował. Zbieraliśmy się wtedy w lesie. Przyjęcie było. Zorganizował po te 50 gram. Kiełbasa była. Cały czas w sutannie chodził. W 1946 r. przyniósł nam bandziorskie ryngrafy. Były poświęcone. Nosiliśmy je przyczepione łańcuszkiem za guzik.

Wiem, że nasz oddział "Młota" rozbił posterunek MO w Choroszczy w maju, czy czerwcu 1945 r. Wiem, że był to nieudany

atak. Był tam wtedy "Młot" i Bołtruczyk. Wtedy zlikwidowano komendanta posterunku i jego zastępcę. Mnie w tym czasie nie było w oddziale, bo byłem gdzieś oddelegowany.

Oddział powstał w zasadzie w jakieś dwa czy trzy tygodnie po jego ucieczce z więzienia. Do tego czasu nie było komu zebrać nas do kupy. "Młota" do tego czasu nie znałem. Chłopcy z Rogowa go znali.

Zimą, na przełomie lat 45/46 dostaliśmy specjalne zadanie - chronić las przed chłopaki. Co tu się wtedy działo, to ludzkie pojęcie przechodzi. Pokotem las kładli. Zostawiali gałęzie - wierzchołki - grubości 15 cm, pnie sięgały aż do pasa. To akcja nasza trwała wtedy nieprzerwanie przez kilka tygodni. Cały czas siedzieliśmy wtedy w lesie i leliśmy ich w tyłek. Ze wszystkich wsi tak przyjeżdżali i rabowali. To tak rabowali las między Kruszewem, Konowalami i Izbiszczami. Wszystko pokotem szło: olszyna, brzezina. Cała wieś jechała do lasu. Gajowy to był całkowicie bezradny, bo jak jechali to niejeden i użynek miał i peema jeszcze potrafili mieć. To dostaliśmy specjalny rozkaz: Chronić las. Gdzie indziej było to samo: Ponikła i okolice. Sprawdzaliśmy który miał drzewo na powórzu z lasu to kazaliśmy sprzątać w lesie gałęzie i wszystko. Do marca w lesie był już porządek. Było czysto, posprzątane, gałęzie wymiecione. Oczywiście chłopci nadal przyjeżdżali do lasu po drzewo, ale wtedy już mieli specjalne zaświadczenie od sołtysa czy wójta, który w wydawał pozwolenie, za co płaciło się ustaloną sumę. I my respektowaliśmy te dokumenty.

Ile razy władza ludowa nazbierała odpowiednią ilość dokumentów w gmnie w Barszczewie to przychodziliśmy i paliliśmy ~~wszystko~~ wszystko. To kilka razy w 1946 r. zachodziliśmy tam.

Jako, że w powiatówce mieliśmy wtyczkę, to wiedzieliśmy, kto pisał donosy, kto był u nas konfidentem i jaki miał numer. To tylko z naszej wsi w 1946 r. zlikwidowaliśmy pięciu takich chętnych do współpracy. W topilcu czterech współpracowników UB zlikwidowaliśmy. Zaczerlan to sobie nie przypominam.

Wieś Kościuki była cała zasiedlona przez Białorusinów. To zmobilizowaliśmy całą siatkę i otoczyliśmy wieś. Strzelali do nas trochę, ale szybko to ucichło. Jeden czy dwa wyroki wykonaliśmy i kazaliśmy im wyjechać wszystkim do Rosji, skoro są Rosjanami. Tu nie było polskiej wsi. Jeszcze tej samej nocy przyjechali Ruscy. Samochody pancerne otoczyły wieś i dotąd pilnowali, aż wszyscy wyjechali. i na ich miejsce przyjechali ludzie z wileńszczyzny. Z poprzednich mieszkańców to zostało tylko kilka polskich rodzin. Tak to cała wieś wyjechała. To było chyba późną jesienią albo zimą 1946 r.

Tę Zołotow to też pamiętam. Jak Rosjanie kwaterowali w szpitalu, to z NKwD spółkę wzięła. Zlikwidował ją patrol. 4, czy 5-ciu chłopaków. Tak, że młodo zacząłem to wszystko. Jak pierwszy wyrok wykonałem to miałem 17 lat. Wyroków takich było dużo, tylko, że starałem się być jak najdalej od tej roboty, bo nie przepadałem za nią. Chętnych do wykonywania jej nie było.

Jak było ujawnienie, to ja do końca nie wierzyłem, że ujawnimy się. "Młot" też nie chciał, ale dostał taki rozkaz. Tuż przed kościołem Farnym w Białymstoku dołączyliśmy do oddziału "Zgrzyta". Razem byliśmy na mszy św. Moja przyszła żona była w tym czasie w kościele. Żona twierdzi, że była msza. Nieprawda. Nie było. Nie chcieliśmy mieszać ani księdza ani organisty. Organista był z Choroszcy. Miał pseudonim "Gozdawa". On wszedł n

na chór i zaintonował ~~xxx~~: Pod Twoją Obroną... . Staliśmy ustawieni czwórkami. Broń zostawiliśmy przed kościołem ustawioną w kozłach. Pilnowała jej warta. Później z kościoła poszliśmy na warszawską na UB. To dzień później pisała o nas "Gazeta Białostocka": Niepokojące salwy w mieście. Członkowie podziemia ujawniają się. - Nie pamiętam dokładnie tytułu, ale to było tak mniej więcej. Chodziło o to, że jak szliśmy kościelną do warszawskiej z kościoła to cały czas pruliśmy z broni do góry, z czczego kto miał. Tylko magazynki zmienialiśmy. Gapiów było pełno. Jakies trzy panie przed kościołem rozdawały bukietki: trzy prz przyłasczki i gałązki jedliny. To wkładaliśmy je za polówki. Nie, nie wszyscy mieli mundury. Chłopaki z oddziału to wszyscy byli umundurowani. Z siatki to byli w cywilu. PUBP na warszawskiej mieścił się w budynku, ~~gdzi~~ gdzie dziś jest Czerwony Krzyż. Wcześniej jeszcze to przyjechał lodziarz i lody za darmo rozdawał. Starszy pan częstował papierosami. Miał takie pudełka po 100 sztuk. - Ci ludzie mieli jednak odwagę. Pamiętam jak jechaliśmy przez Starosielce to też strzelaliśmy w górę. Wtedy kobiety i dziewczyny powychodziły z domów w szlafroczkach. Patrzyły na nas i mówiły: My myśleliśmy, że wy nam wolność przyniesiecie, a wy sami teraz idziecie.. Zaczęły płakać, my za nimi. Ja też. Wszyscy poryczeliśmy się.

Zaraz po ujawnieniu musiałem jeszcze pójść do Komendy Uzupełnień, którą umieszczono wtedy w budynku Straży Pożarnej. Przesiedziałem tam dzień czasu i nic nie załatwiłem. Kolejka była okropna. Roczniki mieli pomieszane, fałszywe. Więc na drugi dzień znowu tam idę. Oczywiście miałem na sobie mundur. Na Sienkiewicza zatrzymała się koło mnie wołga. Z wnętrza wygląda dwóch młodych chłopaków - takich po dwadzieścia kilka lat - i pytają się: Gdzie idziecie?. - Do komendy, do Straży.

Siadajcie, to podwieziemy. - No to już ujawniłeś się - pomyślałem. Pytają się czemu tam idę. Wyjaśniam więc, że kolejka duża, każdy prostuje swój rocznik, i powoli to idzie i trzeba sterczeć w kolejce. - Dobra, jedziemy. Załatwimy tę sprawę. - No i zaszliśmy tam. Podeszli do jakiegoś sierżanta, który pilnował tego wszystkiego: Tęga pana załatwić bez kolejki - pokazują na mnie. A w kolejce zaraz podniósł się szum. Wtedy jeden z tych gości odwrócił się i ^ubliznął: A wy skórwysyny, u matek pod spódnicami siedzieliście, do wojska broniliście się iść, roczniki pokręcieliście i chcecie, żeby ten człowiek w kolejce stał razem z wami. Załatwić tego pana. - Cisza. Dziękuję panom - odpowiedziałem. Cześć-i pojechali. Nie wiem kto to był. A byłem już pewien, że jest już po mnie.

Niedługo potem szedłem Częstochowską, gdzie kwaterowało KBW. Szedłem do ciotki na Poleskiej, gdzie kwaterowałem. Teraz ten budynek, gdzie było KBW, należy do Alei. I natknąłem się na plutonik, który prowadził jakiś podporucznik czy porucznik. Zauważył mnie ustawił więc ich dwójkami na baczność. Mijam ich a on mówi do nich: Patrzcie, tak wyglądają ludzie z lasu. - To trzeba było mi jeszcze powiedzieć: Czołem żołnierze.

Jak ujawniałem się to zdjąłem orzełka z polówki a pas zapinąłem pod bluzą. Tak, że na wierzchu nie było go widać.

Przypomniało mi się jak jeszcze stałem pierwszy dzień w Komendzie w kolejce do rejestracji ~~przez~~ poborowych. ~~Wyszedł~~ W pewnym momencie wyszedł na podwórze taki kapralina. A ja stoję przy bramie, bo i tak wiem, gdzie moje miejsce w kolejce. W pewnym momencie ~~widzę~~ - widzę - idzie żołnierzyzna. Paczka pod ręką. Głowa zwieszona, wszedł przez bramę i idzie dalej. Nie zauważyłem tego kaprała. Ten się waciekł i pędza go w tę i z powrotem i każe mu za każdym razem salutować. Raz, drugi, trzeci

czwarty. W końcu mnie to zgniewało i mówię do tego kaprała: Jaś nie oświecony kaprału. Może ja pochodzę, bo mam cały dzień do dyspozycji. Ten żołnierz nie widział pana - mówię to, a tu już gapie się zbierają - sodówka ci odbiła, toż władza ludowa miała nie pędać żołnierzy. Przyjemność taka wielka. - Zrobiło się zbiegowisko. Dostałem brawa i kaprał zabrał się i poszedł. Zaraz przyleciały dziewczyny z ogólniaka. Na lody mnie proszą. Na obiad. Chcecie posiedzieć? - pytam się ich - lody to ja mogę zjeść. Na obiad nie pójdę, bo u której będę, to kto wie czy jutro UB nie będzie.

Jeśli chodzi o prasę konspiracyjną, to dostawaliśmy w oddziale jeden czy dwa egzemplarze "Bieżącego Informacyjnego". Nie pamiętam jaką drogą to do nas docierało.

Ja nie dostałem się nigdy w zasięg obławy, ale Grzybkowi to raz się przydarzyło. To było na 3 maja 1946 r. Otoczyli wtedy Pańki to oni uciekali. Przez rzekę, to Antoni Bołtruczyk "Kruk" utopił się, bo nie umiał pływać. Był członkiem oddziału. Pochodził z Klepacz. To był przedwojenny kaprał. Równy chłop. Ja wtedy byłem w innym miejscu. Ukryłem się na ^{miejsce} wyspie, na rzece. Tam było najspokojniej. Słyszałem tylko jak za nimi strzelali. "Jastrząb" jeszcze żyje. Mieszka w Sawinie. Grynarz mieszka w Ruszcanach koło Choroszczycy, Andrzej Wyszynski mieszka na kolonii Rogowo, Michał Turowski jeszcze chyba żyje na kol. Rogowo, Turowski Mieczysław jeszcze niedawno żył w Warszawie. To są ci co wiem, że żyją. Reszta raczej nie żyje. Niektórzy rozplynęli się po świecie. Nic nie wiem o tym, żeby między Michałem był jakiś tarcia z "Młotem" jak na moje rozeznanie był chłop jak trza. Był bez pardonu. U niego nie odkładało się coś na jutro. Według mnie to nikt nie został zlikwidowany przez nas z powodu czyichś porachunków. Na moje rozeznanie wszystkie wyroki były

słuszne, chociaż zawsze zastanawiałem się, czy konieczne.

Pamiętam, że kilka razy likwidowaliśmy zwykłe bandy rabunkowe. Raz przyszli bandyci z Pszczółczyna do księdza w świdnie. To było po odpuście i myśleli, że ma dużo pieniędzy. Byli umundurowani i uzbrojeni jak partyzanci i za takich się podawali. ~~Jakomyś...~~ Nie było mnie wtedy w oddziale, to słyszałem tylko, że nasi postanowili wciągnąć ich w pułapkę. Umówili się z nimi po prostu na akcję. I przy spotkaniu wszystkich zlikwidowali.

Innym razem to już byłem. Wieźliśmy wtedy żawność dla zgrupowania mjr. "Jerzego". Po przejściu szosy do warszawy zatrzymaliśmy się na kol. Nowosiółki, żeby napić się wody. Może mleka chcecie się napić? - zaproponowała kobieta. Napiliśmy się, zbieramy się iść odsapnęliśmy trochę i ~~idziemy~~ dalej. Już wychodzimy, gdy kobieta wręcza nam pieniądze. Skąd? Za co? - Proszę panów - wyjaśnia nam, zdziwionym tą sytuacją - tu wczoraj byli po pieniądze. Przed wczoraj sprzedała krowę, bo chciałam kupić córce maszynę ale nie znalazłam odpowiedniej i pieniądze zostawiłam u siostry. Więc kazali mi przywieść te pieniądze i dziś mieli je odebrać. No to co chłopcy? Poczekamy trochę. Znaczą się, będą. - I rzeczywiście, przyszli. Dwóch ich było, oczywiście w mundurach. Okazało się, że to ^{gospodyni} bratanek ich naprowadził. Jak pierwszy z nich wszedł do domu, gospodyni od razu pokazała na niego: O, to ten. w domu było nas dwóch, trzech na zewnątrz na obstawie. Nie trzeba było nawet śledztwa prowadzić, bo wszystko było jasne. W łeb dostali i cześć pieśni. Żywność dostarczyliśmy na umówiony punkt za rzeką Supraśl, skąd już mieli go odebrać inni. Na most nie chcieliśmy wchodzić, bo tam był posterunek wojskowy, więc puściliśmy wozaków samych. Punkt był w Fastach, za Nowosiółkami. Tam właśnie wozacy mieli zostawić żywność. Dalej wędrowała ona do Ponikły i Obrubnik, skąd była już bezpośrednie

dnio dostarczana do obozu mjr. Jerzego. Wiźliśmy wtedy dwa żywe świniaki, groch, fasolę, kartofli kilka metrów. Było to załadowane na trzy wozy. Woźnice mieli w razie czego powiedzieć, że jadą na targ do Knyszyna.

Tyeh z Pszczółczyna było trzech. W każdym bądź razie jak wzięliśmy się za tępienie tych band, to jesienią 1946 r. w terenie był już całkowity spokój. Nawet na wiejskich zabawach. Ciągłe tłukli się tam, rozbijali sobie łby. Mieli noże, sprężyny. Weszliśmy na salę: Ręce do góry. ~~XXXXXXXX~~ ranie [an] prawo, pęnowie nalewo. I każdy delikwent podchodził do nas k po kolei. Miał nóż w kieszeni. No to na ławkę go i 20 gum na tyłek. Jakiś urzynek za pasem - 20 sztuk, guma, sprężyna - 20 sztuk. To jak później zabawa była to już ~~nik~~ nic nikt nie miał i nikt nikogo w gębę nie uderzył. Taki porządek zrobiliśmy w każdej wiosce na naszym terenie. Wszędzie "nauka" była.

Milicji to tu nie było. Nikt nie widział pojedynczego milicjanta na oczy. Władza ludowa utrwałała się a chłopk pokotem ~~ix~~ las kładli. Nikt się tym nie interesował. Początkowo chłopci odstawiali kontyngenty, ale jak raz i drugi spaliliśmy dokumenty w gminie, to skończyło się odstawianie ~~dok~~ kontyngentów, bo władza nie wiedziała kto odstawił a kto nie odstawił.

Latem to przeważnie w lesie k staliśmy. Na wyspie ~~m~~ na rzece między Pańkami a Rzędzianami mieliśmy wybudowane dwie ziemianki każda na 10 osób. Chodziło tylko o spanie. Żywność też tam była zgromadzona. Ziemianki UB odkryło dopiero chyba w 1947 r, jak przyszedł tu oddział "Młota" ~~x~~, który działał w pow. Bielsk Podlaski. To było tak. Oddział "Młota" przyszedł do Paniek. Było ich 24-ech chłopca. To było we wrześniu 1947 r. Oddział przyszedł do wsi nad ranem ~~x~~. Wzięli chłopów, którzy mieli łódki i przewieźli ich na wyspę. Dowódca powiedział wtedy do nich: Jak wrócicie do Paniek to już będziecie mieli innych panów.-On już wie

siedziało im na piętach
dział o tym, bo UB ~~szukał~~szukał kilku dni. I rzeczywiście.
Chłopi wrócili do wsi a tu już czekało na nich UB. Gdzie jeździ
liście? - wojsko woziliśmy. - No to i nas zawieziecie /potem
i ja jeszcze dostałem na UB za tą imprezę/. "Młot" widział ich
jak płyną przez rzekę. Mógł ich wystrzelać na wodzie jak kaczki
ale szkoda było mu chłopów. Począł więc aż ubecy wysiądą na
brzeg. Wtedy chłopci popadali na dno łodzi a chł^poaki z lasu za-
częli pruć po ~~ubekach~~ niczego nie spodziewających się ubekach.
Mało który został. Ci co przeżyli uciekali na drugą stronę
wyspy w kierunku na Rzędziany. Zaczęli uciekać przez rzekę.
A z tej strony była przygotowana zasadzka UB. Stały tam ich
karabiny maszynowe. Czekali na uciekających "bandytów". Gdy
więc wydawało się, że zobaczyli ich wkońcu, to zaczęli do nich
grzać. Wszystkich uciekających ubeków w ten sposób wykosili.
W tym czasie oddział "Młota" znowu załadował się na łódki,
przepłynął przez rzekę i skryli się w niedalekim lesie. Dotarli
do Izbiszczy i przedostali się na drugą stronę rzeki. Ubeków
natłukli wtedy do cholery. Karetki woziły tet^yrupy, a "Młot"
miał tylko jednego rannego, którego jednak zostawił e lesie
bo był ciężko ranny. Zostawili mu pieniądze na pochówek, trumnę
Dzieciaki, pastuchy, paśli tu krowy. Posłyszał jak idą, pomyś-
lał pewnie, że to UB i sam się dobił. Chłopi z Paniek go pocho-
wali na cmentarzu w Choroszczy, bo to była ich parafia. Nie
wiadomo, kto to był.

Potem, jak siedziałem, to dostałem za to, bo mówili, że
to jest niemożliwe, żebym ja tam nie był, bo bez miejscowych
oddział "Młota" nie uciekł by. Na zgadywaną mnie brali.

Aresztowano mnie w 1948 r. Uczyłem się wtedy w szkole włó-
kienniczej na ul. Mickiewicza w Białymstoku. Było to wiedzoro-
we Technikum Włókiennicze. Miałem znajomą nauczycielkę, ta zna-

ła taką Cudowską, która z kolei znała dyrektora szkoły i tak dostałem się w szkole. W ten sposób narobiłem sobie tylko kłopotów, bo na śledztwie chcieli mi wmówić, że ja specjalnie poszedłem do tej szkoły, bo organizacja chciała mnie w środowisko robotnicze wprowadzić. Może rzeczywiście wyglądało ~~to~~ podejrzanie, bo była to szkoła dla majstrów, czyli ludzi pracujących a ja, jako że dostałem się tam po znajomości, nie musiałem pracować. Z tego wszystkiego dyrektor szkoły uciekł do rodziny. Wiem, że taki Godlewski z Kruszewa przewoził go przez rzekę. Nauczycielkę przyprowadzili do mnie na konfrontację. Ona mówiła jak to było i ja mówiłem jak to było. Wszystko się zgadzało i puścili ją.

Jeszcze ^{w razie wsypy} przed ujawnieniem ustaliliśmy z chłopakami, że nie byliśmy w żadnym oddziale tylko w bandzie. Żadna organizacja. Wiedzieliśmy, że i tak nas zrobią bandytami, więc trzeba było ułatwić ludziom.

"Słowika" Trypusa aresztowali wcześniej ode mnie - w lutym, a mnie 3 marca. A zaczęło się jeszcze wcześniej, bo w 1947 r. "Młota" wezwali na UB. Poszedł. Wypuścili go, ale po jakimś czasie znowu wezwali go. Tym razem już nie poszedł, tylko uciekł do lasu. Bałtruczyk również dostał wezwanie i poszedł. Jak wrócił powiedział, że więcej nie pójdzie i gdy ponownie dostał wezwanie poszedł, ale do lasu. I w ten sposób się zaczęło. Oni się kryli, ~~z~~ jak nie. Któregoś razu przyszli do mnie i mówią: Wiesz co Antek, chodź z nami, postoisz z karabinkiem, a my weźmiemy pieniądze. Jeść przecież musimy. Nie - więc poszedłem z nimi. Nie mogłem przecież odmówić kolegom, gdy prosili o pomoc. Wtedy zabraliśmy od czterech sołtysów podatki: w Kruszewie, Izbiszczach, Konowalach i Pańkach i w śliwnie. To był pomysł ~~x~~ "Młota", ale na akcji tej nie był, tylko został na melinie. To był już

starszy gość więc na akcje wysyłał młodych.

Na akcję tę poszedłem bo byłem pewien, że lada moment będę musiał dołączyć do kolegów w lesie, gdyż niedługo przedtem przyszedł do mnie sołtys i mówi, że był goniec z UB i przyniósł wezwanie dla Antoniego Iwaszczuka, ale że we wsi było dwóch o takim nazwisku - tzn. ja i jeszcze jeden - więc sołtys odprawił gońca, bo nie wiedział któremu dać to wezwanie. Myślałem więc, że to na pewno chodzi o mnie i nie ma tu co czekać, tylko znowu trzeba brać się do roboty. Oni nie poszli na UB, to ja będę za nich nadstawiać dupę. Musiałem z nimi mieć spółkę. Ale potem więcej już nie przysyłali dla mnie wezwania. Może rozmyślili się. Po tej akcji wyjechałem do Białegostoku, bo pomyślałem, że koledzy znowu przyjdą, żeby im pomóc. Wtedy właśnie dostałem się do tej szkoły. Akcja ta przeprowadzona była latem, w sierpniu.

We wrześniu dostałem w łeb sekretarz partii w Izbiszczach. Była to oczywiście akcja "Młota". A w lutym 1948 r. "Słowik", który brał udział w naszej akcji na sołtysów w sierpniu poprzedniego roku, dostał wezwanie na UB. ~~Wyrazidkxakruszawaxi jaxnioxwaxkxkxznstakxaresztowany.~~ Jeszcze wcześniej, po zabójstwie tego sekretarza, dostałem wezwanie na UB i poszedłem, ale miałem alibi. Ja zaś w tym samym dniu dostałem wezwanie do wojska. Urządziłem więc pożegnalny wieczór dla chłopaków, bo dostałem kartę powołania. Było więc 20-stu świadków, że "Słowik" był całą noc z nami i pił. Następnym razem gdy dostałem wezwanie, a było to właśnie w lutym dostałem propozycję nie do odrzucenia: Po co masz pracować. ~~Mx~~ Razem teraz będziemy pracować. Masz pistolet i pieniądze. I od tej pory zaczął chodzić z nimi. I przez takich rozpadała się organizacja. Dopóki wydawał wszyst-
ko

ko było w porządku, ale gdy wreszcie zabrakło mu materiału, aresztowali go. Dobrze go skopali i dostał wyrok taki sam jak ja - 15 lat. Po wyjściu z więzienia powiesił się.

A ten sekretarz w Izbiszczach to sam szukał śmierci, oświadczył wobec chłopów ~~zabrzanych~~ zgromadzonych na zebraniu, że teraz on jest sekretarzem gminy, że on jest dla nich "Młotem" i że dla Grzybki to już tutaj miejsca nie ma. Ja tu teraz zrobię w gminie porządek. Nie będzie żadnych Grzybków ani "Młotów". No i skończył.

Jak dostałem wtedy kartę powołania do wojska, to następnego dnia pojechałem do Białegostoku. Komenda Uzupełnień mieściła się nadal na Warszawskiej. Kolejka jak cholera. Chłopaki z kufkami, walizkami a ja tylko ręcznik, ^{przybory do golenia} mydło i szczoteczkę do zębów mam zawinięte w paczuszkę. Dopiero następnego dnia dostałem przydział i to jaki. Wyczytali nas 24-ech do KBw do Bydgoszczy. No do dobrej formacji ja trafiłem. Ale cóż było robić. Przyjechał po nas kupiec - porucznik. Towarzyszył mu kapral. ^{dwu} Odprowadził nas na bok; ustawił w szeregu i pyta: Kto był aresztowany?. - Jeden podniósł rękę. - Ile. - 24 godziny. - Dobra, kto ujawniał się? - Tylko ja podniosłem rękę. - Bierz jego kartę - mówi porucznik do kaprala - i idź do komendanta. - Przez pomyłkę dali mi przeciwnie tę kartę. Zachodzimy do komendanta. Ujawnialiście się? - Ujawniałem. - Broń zdawaliście?. - Zdawałem. - Gdzie wasz kuferek?. - Tylko ~~xxxxxxx~~ to pod pachą, ~~xx~~ ten tobołek. - No to idźcie do domu. - Major wyszedł za mną i mówi: Proszę pana, my mamy tysiące takich co karabinu jeszcze w ręku nie trzymali i musimy ich przeszkolić, a sądzę, że wy to umiecie strzelać. - Pociesz mnie, pociesz - pomyślałem sobie.

A drugi raz do wojska szedłem po wyjściu z więzienia. Pracowałem wtedy na Pietraszach jako betoniarz. Przychodzę do domu

zmęczony niesamowicie a tu wezwanie do rezerwy. Zaległe roczniki brali wtedy na trzy miesiące. Poszedłem na komisję wojskową. Lekarz pyta: Dolega coś?. - Nie, nic nie dolega - Odpocznę sobie przynajmniej - pomyślałem sobie - zawsze to lepiej będzie jak przy tym betonie. No, chociaż jeden nie kręci - mówi lekarz - Chodź - mówi do drugiego - zobacz jakie nogi ma, jak baletnice ca. - Obejrzelili mnie i do komendanta. Ten wziął moją kartę, przeczytał imię i nazwisko, odwrócił ją na drugą stronę i mówi: Idźcie do domu. - I tak odsłużyłem drugi raz wojsko.

Aresztowała mnie powiatówka. Milicja z Warszawskiej. Byłem wtedy na praktyce w fabryce jako tkacz, a moja ciotka chodziła do dyrektora tej fabryki sprzątać mieszkanie i nieraz dyrektor dzwonił do mnie, żebym przyszedł do ciotki, gdy coś potrzebowała. i Przyszedł do mnie kierownik i mówi: Dyrektor dzwoni. - - Skórwysyny już wszystko wiedzieli, jak to urządzić. Pomyślałem, że to pewnie ciotka chce, żebym przyszedł. ~~Wskazy~~ Otworzyłem drzwi do pokoju kierownika, wchodzę a tu nagle kilka luf pistoletów wcisnęli mi ~~wkasy~~ pod brodę: Ręce do góry. - Sześciu chłopów na schwał. Nie ma co marzyć o oporze. Zawieźli mnie na milicję. Ja nigdzie nie byłem, co wy chcecie?. - Więc przypro-
wadzili mi na oczy ^{Wacława} Kierwiela i Trypuza /oni wstąpili do oddziału już po ujawnieniu. Był jeszcze Antoni Karpowicz~~z~~, który nawet wiał im tak, że do dzisiaj nie wiadomo co się z nim stało. Czy żyje, gdzie jest? Nie wiadomo/. I ci dwaj powiedzieli już wszystko co trzeba. Później na UB to dostałem za tę wysepkę, co to "Młot" z Bielska rozbił ich. PUBP mieścił się wtedy w budynku dokładnie na przeciwko obecnego VI LO na warszawskiej. Z tyłu jest jeszcze taka charakterystyczna półokrągła weranda. Pamięta

bo tam kibelek wynosiło się, Jeszcze próbowałem uciec stamtąd. ale sirżant Szeremeta kapnął się chyba, że coś jest nie tak, bo któryś krzyknął, że jeszcze wszyscy nie załatwili się, a ja ~~zabawczyłem~~ myślałem, że na korytarzu już pusto, bo cisza była. wtedy ten Szeremeta parabelkę wyjął z kabury i już nie pozwolił mi podejść do siebie. A tak, to myślałem, że stuknę go pokrywą od kibelka i pójdę sobie. Nic jednak z tego nie wyszło. Albo bym uciekł albo zastrzeliliby mnie wtedy.

Na UB to tylko raz mnie zleli. Mieli taki wycior. Związali mnie w kabłąk, drażek przeciągnęli pod nogami i związanymi rękami i jego końce oparli o taborety. Głowa wisiąca do dołu, pięty natomiast i tyłek wystawały do góry. I walili mnie tak w pięty i w tyłek. A na koniec ocet wleli mi do nosa. Póniej jak przenieśli mnie do więzienia na Kopernika to zamknęli mnie w pojedynce. Siedziałem tam 9 miesięcy. Na początku nie dali mi jeść. Po trzech dniach przynieśli mi chleba, tak~~że~~ kilogramowy bochenek i trzy śledzie. Jak ~~że~~ głupi zjadłem to, a przecież wody nie było, to człowiek lizałby ściany, żeby chociaż odrobinkę wilgoci. A im właśnie o to chodziło.

Byliśmy w lesie, nie uciekaliśmy na Ziemi Odzyskane, bo wierzyliśmy, że jeszcze rok, pół roku i wybuchnie wojna między Stanami Zjednoczonymi a Rosją. Tylko ~~to~~ nas tu trzymało. Inaczej to trzeba było w 1945 r. zwijać się do Szczecina i pryskać. Gdyby to było wiadomo, że to będzie tak. Wszyscy jednak wierzyli, że nas nie opuszczą.

Jeszcze jedna rzecz mnie trapi. Rozmawiałem o tym z kolegami w więzieniu. w 1945 r. na odprawie nasze dowództwo orzekło, że mamy 10 dolarów miesięcznie żołdu. To było mówione na zbiórce, celem wyjaśnienia na jakich warunkach jesteśmy. To było w Rogowie czy w Pańkach. I podobnie te pieniądze trafiały do Pol-

ski, nawet do okręgów. Tylko nie do nas.

Jak wyszedłem z więzienia to jeszcze z 7 czy 8 razy wzywali na UB. Spokój miałem dopiero w 1956 r. Pytali się, czy nie wiem gdzie jest "Młot". Obiecywali w zamian za wiadomości o ni i lepszą pracę i pieniądze. To jeszcze tak robili, że liczyli, że człowiek popełni jakieś świnstwo. Kończyłem pracę w betoniarni o 15-tej. Przyjeżdżał goniec z UB i tuż po pracy, nie mając czasu nawet zajść do domu szedłem na warszawską. Znowu od początku musiałem odpowiadać na pytania: Imię i nazwisko, imiona rodziców, miejsce zamieszkania i tak w kółko. Cały życiorys od okupacji. Do domu wracałem całkowicie wykończony o 20-21-ej. Jednego razu to chcieli zastawić na mnie pułapkę. Taki młody cwaniak wyjął parabelkę - ~~na~~ ja po jednej stronie biurka, on po drugiej - położył na stół i pyta czy ja znam ten pistolet. To mój ulubiony - odpowiedziałem - Najlepiej go znam i najbardziej go lubię. - Położył go do szuflady biurka, której nie zamknął i wyszedł z pokoju. Nie było go może z pół godziny. Popatrzyłem na ten pistolet i pomyślałem: Antek, w rękę możesz go wziąć, ale na pewno jest tak spreparowany, że nie wystrzelisz z niego. Mogę sprawdzić czy amunicja jest ale wystrzelić z niego nie wystrzeliszxx jak ci zostawiają.

Za Niemców miałem parabelkę i empi, ale nie było do niego amunicji więc wymieniłem go później na pepeszkę. A pepeszka miała tę samą amunicję co i tetecka. Zdażyło mi się używać pepeszki W Choroszczu ~~stali Rusy~~ kwaterowali Ruscy i na sąsiednie wsie jeździli rabować. 7-8-miu chłopów siadało na samochód, jechali i brali świniaki, cielaki i brania. Wszystko co się dało. Chcieli chłopaki urządzić na nich zasadzkę jak będą jechać na rabunek. Nie panowie - powiedziałem - ~~nie będą jechać na rabunek~~ Jeś

li zrobimy to wtedy to będzie to źle wyglądać. Jak będą wracać to samochód będzie tym wszystkim załadowany i wtedy należy ich rąbnąć. I tak zostawić. Wtedy nie będą krzyczeć, że bandyci na nich napadli. I tak zrobiliśmy. Było nas 5-ciu, ich 7-miu ~~xx~~ czy 8-miu. walka trwała 30 sekund. Jechali wtedy z Rogowa przez Rogówek i kropnęliśmy ich przed samą Choroszczą, prawie w Choroszczy. To było w połowie 1945 r. Stały tam i czołgi i samochody pancerne. Potem wyprowadzili się stamtąd i zrobiono na tym miejscu szpital. Było ich tam kilka tysięcy. Represji żadnych nie było. Nawet w gazecie nie pisali. ~~Gdyxxx~~ Musieliśmy ich zatrzymać w ten sposób, bo w swoich rabunkach posuwali się ciągle do przodu, rabując systematycznie kolejne wioski. ~~Na~~ Gdy nadjechali to tak zasypaliśmy ich ogniem, że nawet żaden nie ^k ^bbo pierwsza seria poszła po kabinie kierowcy i stanął w poprzek odpowiedział. Samochód zjechał do rowu i zaczął się palić. W ciągu 30 sekund wszyscy już nie żyli. Zostawiliśmy ich tak w tym rowie. Nawet broni nie zabieraliśmy, żeby wszyscy widzieli że to byli bandyci i wracali z rabunku. Od tej pory żaden już nie pojawił się tu, żeby rabować. Przed akcją umówiliśmy się też, że jak ~~x~~ który z nich będzie ranny to zostawiamy go tak Akcją dowodził "Młot". On w 1946 r. zmienił pseudonim na ".wierk Nie wiem dlaczego tak zrobił. Zastępcą "Młota" był Andrzej Łuszczynski "Pocisk". On też często kucharzył ~~gd~~ gdy staliśmy w lesie, ale często robił to każdy kto umiał. Z ziemianek na tej wyspie to korzystaliśmy latem, bo zimą to byliśmy przeważnie na kwaterach. A chodziliśmy przeważnie w biały dzień. Z lasem jak była sprawa to w biały dzień zachodziliśmy do sołtysa i razem lustrowaliśmy wieś i patrzyliśmy kto ile drzewa ma nawiezonego Jak się nazywa a potem kazaliśmy mu jechać do lasu i sprzątać. Tyle i tyle dni. Że sprzątnął tyle i tyle to miał nam przywieść od gajowego dokumencik, który to potwierdzał. Tak, że chodziliś

my w biały dzień. Nazywano nas - "biskupami". Za "bierzowanie" wymierzane przez nas gumą w tyłek. O - mówiono - już biskupy ~~id~~ idą. Albo mówili: Biskupy temu i temu zkoili dupę. Z tych co dostali w tyłek brali się potem konfidenci. Chcieli zemścić się na nas.

U nas na cmentarzu to jest specjalny grób zrobiony jeszcze przez Edzika w 1945 r. Tam pochowani są dwa polegli nasi żołnierze ~~jesz~~ już za czasów demokracji i pięciu z okupacji niemieckiej. Na dwie wsi to tak sobie. Jeśli chodzi o poległych za Niemców to jest tam pochowany porucznik wojska Polskiego. No i dwóch naszych członków płynąc łódką nadzieli się na Niemców którzy byli na polowaniu. Major z dubeltówką i za nim esesman z empikiem. To nasi dla majora jajka odstrzelili z erkaemu, a porucznik dostał w twarz z dubeltówki. ~~Strażnik~~ Dostał w oczy i kolega dobił go. Przeważnie na wszystkich świętach szkoła zajmuje się tym grobem.

Edzio ten chyba jako jeden z pierwszych doprowadził do powstania kopca z krzyżem brzoźowym, na którym przybita była tabliczka z napisem Katyń. Zwieźliśmy na to miejsce chyba z 7 fur ziemi. Kopiec obłożyliśmy darnią a po środku postawiliśmy krzyż. Kopiec ten był na cmentarzu w Izbiszczach. Dziś ta górka już rozplynęła się. Tylko starsi pamiętają jeszcze o tym i noszą w te miejsce znicze. Edek ten wyjechał do Wrocławia i zmarł. To był taki kleryk, że broni nie miał ale wszędzie był. Nawet którejś dziewczynie zrobił dziecko.

W Białymstoku na Kopernika siedziałem 1,5 roku. Potem wywieziono mnie do Sieradza. Tam zdarzyło mi się siedzieć z żołnierzami od "Szarego" z kieleckiego. Pod jednym kocem spałem ze szwadrem "Szarego". On był leśniczym a jego siostra była nauczycielką i to była jego żona. Nazywał się on: Krzywożyka Fran-

ciszek nazywał się. Pamiętam też Gienka Hermana od "Szarego". Jak się siedziało w Białymstoku to nieciekawie było, bo strażnicy byli spod Bielska, co to "Bury" robił te numery. To wpadli którejś nocy do celi i zleli mnie pałami i kluczami.

Ci sołtysi to też niegłupie byli. Wzięliśmy od nich tylko 26 tysięcy. Każdy mówił, że nie ma. Tylko jeden sołtys z Konował był uczciwym Powiedział, że pieniądze zużył, ale ma dolary Nam dolary niepotrzebne. My nie amerykańskie wojsko - powiedziałem. To ten był najuczciwszy a tamci to zachytrowali na nasze konto pieniądze.

Ten sekretarz gminy to Sokół Piotr. Zginął w nocy z 21 na 22 września. To Kierwiel stał wtedy na warcie. I tak ulgowo go potraktowali go, bo pomimo tego, że brał udział w zabójstwie to też dostał 15 lat jak ja. Rozprawa odbywała się na więziennej świetlicy. Mnie samego sądzili, Kierwiela też oddzielnie. Na salę wpuścili najbliższą rodzinę, odczytali akt oskarżenia, pani mecenas zaczęła swoją mowę obrończą: że młody, że szczerze się przyznał a w tym czasie sędzia już dyktował wyrok dla protokulatna. Ten Kierwiel pochodził z Nowogródzczyzny i właśnie stamtąd wziął się w Kościukach. Karpowicz też wziął się z Kościuk.

Bołtruczyk długo się krył, ale w końcu ten nasz zakonnik jakoś zakatwił mu i ujawnienie, tak że go nie zamknęli. Czy może podpisał współpracę? Nie wiem. Zyje w Sawinie. Karpowicz i "Młot" uciekli. To co mnie dziwi, to to, że o Karpowicza nie pytano mnie na UB. Tylko o "Młota" cały czas wałkowano.

Jak wynika z zaświadczenia podpisanego przez "Bogusława" inspektora białostockiego w 1987 r. byłem zaprzysiężony przez por. Józefa Świerniaka "Zew". Placówka Barszczewo, drużyna ką-

czności w plutonie terenowym. Później łącznik por. "Zewa" x do dowódców placówek obwodu, ale to nie była robota dla mnie. Jeżdżenie rowerem z kawałkiem ³¹² bibułki. Por. Stanisław Czartoryski "Kubuś" to jeszcze żyje. Mieszka w Warszawie.

W sierpniu 1945 r. NKWD urządziło u nas wielką obławę, ale puścili mnie wtedy bo moje niemieckie dokumenty wydały się im w porządku. Dookoła wsi, w odległości 300 m były ustawione karabiny maszynowe, tak, że wieś była zamknięta szczelnie, nawet od strony rzeki. Wewnątrz wsi rewizję prowadziło UB. Było ich z ~~50~~ 50-ciu. Ruskich to było kilkuset. Co 10 m stał żołnierz. Jeszcze wtedy naszego oddziału nie było. Wszystko było na kwaterach. Wypuścili mnie dzięki jednemu porucznikowi, który był z Łodzi. Jeden z żołnierzy już powiedział: Zabieramy go, - ale porucznik wziął moje dokumenty i mówi: Po co. U nas w Łodzi też przychodzą z Niemiec i nie meldują się bo Ruscy biorą ich na roboty - Jak już odchodzili podszedł do mnie i mówi: Chłopie ty niczego się nie bój. Bierz pepeszkę w rękę i niech się ciebie boją. - On był chyba z KBW, bo i ta jednostka była tu. w ten sposób pomógł mi w podjęciu decyzji.

Druga obława była urządzona w październiku 1945 r. Niecałe dwa miesiące później. ~~Textu nie było jeden z naszych uciekł~~ To obławę tą robiło już UB. Potem jeszcze przyjechali na 3 maja. To jeden z naszych uciekając utopił się. Z okazji takiego święta podejmowani byliśmy przez umówionego gospodarza uroczystym obiadem. Mogliśmy wypić po kieliszku wódki. Zadko tak się zdarzało, bo jak człowiek kaził to przeważnie jadło się słoninę, a albo kawałek kiełbasy a najczęściej, aż do obrzydzenia jajka smażone na słoninie. To gospodyniom najprędzej szło zrobić. Można to jeść dzień, dwa ale nie bez końca. Człowiek chciał jakiego

krupniku z oliwą i cebulą zjeść. Ale tego to nie było. Gdy czło-
wiek przychodził z nienacka to jadło się to co dało się najprę-
dziej przygotować. Gdy przychodziliśmy na kwaterę, którą zwykle
wybieraliśmy na kolonii, to mogliśmy tam siedzieć i trzy dni.
Bezpieczeństwo było zapewnione, bo wszędzie było daleko, do do-
mu nikt nie przychodził i z domu nikt nie wychodził, bo nie poz-
walaliśmy. Woleliśmy nawet swoim nie wierzyć. Najlepiej to czu-
liśmy się w Pańkach. Las, rzeka blisko. Do tego byłego komunist-
ty to w pojedynkę zachodziło się. Ten co ze mną na zdjęciu jest
ze mną to był szewc w Kruszewie, nie należał do organizacji,
ale spanie u niego było pewne. Nakarmił, buty naprawił i jesz-
cze za to pieniędzy nie brał. Wolałem takiego jednego od tych
co to niby byli w organizacji, a mówili: Nie przychodźcie do mn-
mie bo mnie spalicie /spalą przez was/. Jednakże żaden z gos-
podarzy nie miał z naszego powodu kłopotów, bo teren był wy-
czyszczony z konfidentów.

W więzieniu w Białymstoku pracował jakiś kuzyn Jana Bołtru-
czyka w stopniu oficera. Jednocześnie pracował dla nas. Już po
ujawnieniu został aresztowany w wyniku wpadki i skazany na karę
śmierci. Wyrok wykonano.

Jak było referendum to każdy był poinstruowany jak ma głoso-
wać. Lista PSL-u miała numer 4, to nie było chłopca we wsi, żeby
nie dostał od nas karteczki do głosowania z numerem 4. Sam roz-
nosiłem je po gospodarzach, tak, że nie musieli ich brać w ko-
misji tuż przed głosowaniem. To już na dwa tygodnie przed wybo-
rami roznieśliśmy te znaczki. Nasz oddział i siatka to robiły.
Ile osób szło do głosowania to wszyscy mieli "czwórki". Jak roz-
dawałem je to oczywiście byłem w mundurze i z bronią. Chodziliś-
my w biały dzień jak prawdziwa władza. Zresztą ani milicji, ani
UB tu nie było. Władza ustawodawcza, sądownicza i wykonawcza

należały do nas. Lokal komisji wyborczej znajdował się w Konowalach. Mieliśmy przygotowanych swoich ludzi do obsługi urny, ale przyjechało wojsko i odsunęło ich ^{razem z UB} przejmując całkowicie kontrolę nad urną. Skończyło się głosowanie to urnę załadowali na samochód i pojechali. Wiemy jaki powinien być efekt głosowania, ale był taki, że niby 99% głosowało tak jak chcieli komuniści. Jak zwykle, a przecież wszyscy zapowiadali, że będą głosować na 4-kę. To jeszcze przed referendum tak się złożyło, że nikomu tyłka nie stłukliśmy, bo swoi ludzie wszyscy byli, a potem to już niektórzy zaczęli się łamać.

Mundur, który mam na zdjęciu to był odświętny. Na co dzień to był drugi mundur i na to niemiecka płaszczka a do tego pepeszka.

Na wybory w 1947 r. to było to samo, ale wojska to była pełna cała wieś. Urna też była w Konowalach. Początkowo chcieliśmy to wszystko rozpędzić, ale jak zobaczyliśmy tych chłopów jadących furami na głosowanie to zrozumieliśmy, że bez ofiar nie obeszkoby się. W nocy też nie mogliśmy tego zrobić, bo punktu wyborczego pilnował pluton wojska. Ustawili erkaemy, cekaemy dookoła wsi to nie było za wielkich szans. Za dużo ludzi by zginęło, a przecież my mieliśmy tylko dwa erkaemy. Jeden z nich obsługiwał Muszyński, ale zwykle to my nie nosiliśmy na akcje erkaemów, bo doszliśmy do wniosku, że znacznie lepszą od niego bronią jest sowiecka "dziesiątka - samozariadka". Lekkie, sprawne. Drugim erkaemistą był "Słowik". Jak zmienialiśmy kwatery to zabieraliśmy te erkaemy, ale tak to były ukryte. Amunicyjnym był ten co podszedł i wziął amunicję. Te erkaemy to były "Diegtiarowy". Nie nadawały się do nocnych marszów, bo idziesz a tu brum, brum, brum - grzechotała amunicja w chlebaku w tym talerzu, to potem już tylko "dziesiątki" nosiliśmy. Ka-

liber miała ten sam co erkaem a więc i ta sama amunicja była. Zasięg ten sam. Jedyna różnica to była taka, że do bębna "Diegtiarowa" wchodziło chyba 62 sztuki amunicji a do magazynka "Die siatki" wchodziło 10 szt. Wystarczyło więc mieć przy pasie 6 magazynków po 10 szt. i było to samo. Seriami też mogła strzelać. Magazynek tak łatwo się ładowało, że można to było robić w biegu a u tego cholernego "Diegtiarowa" to ~~trzeba~~ ^{można} było to robić tylko na postój, bo najpierw trzeba było w magazynku zdjąć pokrywę, potem odciągnąć sprężynę i dopiero wtedy układać amunicję. Jak jest źle, to przecież nie ma na to czasu. Tak samo było z pepeskami, bo podobny bęben, to potem wykombinowałem sobie magazynek w kształcie rogu, to mogłem ładować go nawet w nocy i w czasie biegu. Amunicję zdobywaliśmy w ten sposób, że polowaliśmy na sowieckich żołnierzy. Często chodzili ~~po dwóch~~ po trzech. To wychodziliśmy na szosę i zatrzymywaliśmy ich. Zabieraliśmy tylko amunicję, bo broń nie była nam potrzebna. Swojej mieliśmy dosyć. To śmieli się: Pajdiom, to nam dadut. - Jak odchodziliśmy to sprawdzaliśmy, czy w lufie karabinu czy pistoletu nie został się im pocisk, żeby nie strzelili nam w plecy. Nigdy nie rozbroiliśmy większej ich grupy. Zobaczyłem, że już dwa, trzy magazynki puste, to trzeba było wejść na szosę i poczekać na tych co sprawdzali linię telefoniczną. Później jakiś dostęp do amunicji miał nasz zakonnik - Edzio. Opowiadał, że w Bokinach Ruscy forsowali Maxrew. Przeprawili się na drugą stronę a w międzyczasie ^{ich tłukli więc} Niemcy wezwali lotnictwo i Ruscy piloci nadlecieli i po swoich zaczęli strzelać i bomby puszczać im na głowy. Zrabali swoich do cholery. Jak się wszyscy wycofali, to amunicji zostało tam do licha i trochę. Ludzie pochowali ją, a Edzio miał tam siostrę i przytachał kilka skrzynek. Zresztą po co on, jak wróciłem z Niemiec, to okazało się, że mój brat miał w stodole dwie skrzynki raskiej amunicji karabinowej.

Moi bracia też rwali się do organizacji, szczególnie ten najstarszy po mnie, młodszy o dwa lata. Na szczęście szewc, u którego się kryłem wytłumaczył mi: A co, jak ja przysięgę złożę to będę lepszy. W razie wpadki to przynajmniej będę mógł powiedzieć, że zmusiłeś mnie, żeby dał ci nocleg i jeść. - Gdy więc jeszcze kilku młodych chłopców chciało koniecznie wstąpić do organizacji to wytłumaczyłem im, że nie muszą przecież należeć do organizacji, wystarczy że będą sympatykami a w razie wpadki zawsze będą mieć jeden artykuł mniej. Tak, że po 1945 r. nowych członków to ja żadnego nie wciągnąłem. Młodsze brata UB nie czepiało się ale gdy siedziałem to wzięli go do wojska i tam miał już nieprzyjemności od politruków. Ciągłe Informacja go przesłuchiwała. Chcieli wiedzieć co robiłem. Zresztą to nawet teraz dla syna siostry zachciało się studiować na szkole oficerskiej. I wszystko było dobrze. Egzaminy złożyłem, ale jak gość spytał go: Kto to jest Iwaszczuk Antoni? - Mój wujek. - A, już mamy komplet miejsc w tym roku. - I nie przyjęli go. Wtedy oczywiście chłopak zły był na mnie, ale teraz zadowolony: Po co mi to było - mówi.

Ja to o mało nie uciekłem z więzienia. Był ze mną taki Bućko Jego ojciec był leśniczym w nadleśnictwie Katryńka. Siedzieliśmy wtedy w Sieradzu. Pracowałem tam na szwalni. Jej kierownikiem był Żyd. Zorganizował grupę z chłopaków, którzy mieli wyroki powyżej 10-ciu lat, i uczył nas krawiectwa. Kiedyś wyjdziecie, to wam się przyda - mówił. I my tak myśleliśmy, mieliśmy przecież do odsiedzenia tyle lat. Było nas 36-ciu i dziennie szyliśmy 250 mundurów. Brygadzystą był chłopak od "Szarego", który znał się na krawiectwie. Od tego pedałowania na maszynie to na jedne nodze dostałem żyłaków. W końcu jednak ten brygadzysta - nazywał się Antek - przeniósł mnie na lżejszą robotę. Zamiast szy-

cia całych nogawek, co było bardzo uciążliwe, dostałem przyszywanie górnych patek kieszeni. To już była praca precyzyjna a tym samym powolna, nogami tyle nie napracowałem się. Elegancka, wolniutka robota. Natomiast długie szwy to szyli volksdeutche, ukraińcy. Mieszakaliśmy razem z nimi w jednych celach. Zachowywali się bardzo spokojnie i pokornie. My ich też nie tępiiliśmy. Jedna niedola przecież była. Pod jednym kocem spałem z Wasylem Kralem, ps. "Jar", sotnikiem UPA. Lubił mnie. To był inżynier, agronom spod Lwowa. Miał karę śmierci zamienioną na dożywocie. Żonę miał w Szczecinie. Na imię miała Maria. Dziś już on chyba nie żyje, bo wtedy to był przecież starszy gość. Opowiadał, że na Lubelszczyźnie to akcje razem z WiN-em robił. Tak, że razem siedzieliśmy chyba z półtora roku. Mówił, że tak jak każdy naród tak i oni chcieli tylko mieć swoje państwo.

Właśnie w Sieradzu zaczęliśmy przygotowywać wielką ucieczkę. Zaczęliśmy kopać podkop. Prowadził on ~~z~~ ze szwalni poza mury. Podkop był solidny. Oszalowany deskami, które wynosiliśmy z budowy obok. Kopaliśmy na zmiany w czasie pracy na szwalni. O wszystkim wiedział brygadzysta i krył nas. Gdy szliśmy do pracy w podkopie to nazywało się, że wychodziliśmy do ubikacji. Przy przygotowywaniu tej ucieczki pracowało 12-tu chłopaków z tej naszej brygady krawieckiej. Początkowo wszystko szło bardzo dobrze. Już byliśmy pod murem gdy nagle - przynajmniej dla mnie - wszystko zawaliło się. W Korei wybuchła wojna. Natychmiast ogłoszono alarm w więzieniu. Wszystkich z wyrokami powyżej 10-letniego lat zabrano z dotychczasowych cel i osadzono w osobnych i skończyła się też praca na szwalni. W ogóle nigdzie nie wypuszczali z celi. A Bućko - miał przybranych rodziców, leśniczy po prostu nie miał dzieci i przygarnął go - miał wyrok 8

lat i nie przeniesiono go ze szwalni. Ta grupa, która tam pozostała niedługo potem uciekła. Nasz, to jeszcze oprócz tego, że przeniesiono do innych cel, to mieściły się one w starym więzieniu, które znajdowało się w środku kompleksu więziennego, otoczone budynkami nowego więzienia. Nagle któreś nocy słyszymy: wyje syrena. Co to jest? - każdy zastanawiał się, ale jak to w więzieniu wieści szybko rozchodzą się. Okazało się, że to była ucieczka. Kilku złapano a Bućko i reszta poszli. Nie wiem co się z nimi stało.

Jak wojna wybuchła w Korei, to chociaż dla nas było ciężej niż przed tem, to jednak aż ^{lżej} ~~zwiększy~~ się oddychało, jakby powietrze inne było. Odżyliśmy, a potem wrabiali nas na te cele i skończyło się.

Jesienią tego roku przewieźli nas do Raciborza. Tu więzienie było wybudowane jeszcze przez austriaków i były w nim chyba same pojedyncze cele. Było nas 8-miu w celi, tak że gdy spaliśmy to przewracanie się na drugi bok mogło odbywać się wyłącznie na komendę. Spanie na wznak nie było możliwe, bo nie było na to miejsca. Spaliśmy oczywiście wyłącznie na podłodze na siennikach. Było tylko jedno malutkie okienko, to jak przyszły upały to można było się udusić. Rozbierać się nie pozwalali. Musieliśmy chodzić w więziennych spodniach, a spodenek przecież nie mieliśmy. Na zimę to dawali kalesonki.

Któregoś razu dałem się namówić, żeby zostać starszym celi. Gdy zmieniałem celę, to już rozniosło się i w następnych celach też mnie wybierali. No ktoś musi być tym starszym celi - z takiego założenia wychodziłem. Szybko doszedłem do tego, że w celi nie było żadnego pokrzywdzonego i żadnego cwaniaka. Jednego razu jednak nadziałem się na cwaniaka. Zaczął dobierać się do chłopaka. Raz i drugi zwróciłem mu uwagę i w końcu sprąłem mu

morde. ~~Wrzucił~~ Trafikiem za to do karca. Przenocowałem 24 godziny w bunkierku. To był listopad, ja na golasa a okienko było cały czas otwarte. Na podłodze woda a po ^{do kostek}środku celi mały, betonowy stołeczek. Wyszedłem z karca i dostałem gorączki. Lekarza nie było, bo poszedł na urlop, to siostra - która nie mogła mnie sama skierować na izbę chorych - dała mi tylko tabletki przeciwgorączkowe. To ja dziennie wypijałem 8 litrów kawy, którą zostawiali dla mnie koledzy. Było nas przecież 8-miu w celi. Taką gorączkę miałem. Wic nie jadłem tylko piłem. Płynęło ze mnie cały czas. Siennik to przesiąknięty był potem do tego stopnia, że przewracałem go codziennie na drugą stronę. W końcu zaczął gnić i śmierdzieć. Jak stanę na nogi to mąci mi się w głowie. W końcu gdzieś po dwóch tygodniach przyjechał lekarz i wtedy zobaczyłem jak się bada chorych. Ustawił nas w szeregu i każdego brał tylko za rękę i badał puls. Wszystko w porządku było, jeżeli któryś miał dużą gorączkę jak ja, a jak nie miał gorączki, albo była słaba to lekarz orzekał: symulant i delikwent trafiał prosto od lekarza do karca a dopiero stamtąd na izbę chorych, bo nikt zdrowy nie mógł wyjść z karca.

Lekarz zbadał mnie i kazał zawieść na prześwietlenie. Skuli mnie kajdankami, przywiązali mnie do ~~skupka~~ nóżki w samochodzie i powieźli na prześwietlenie. Strażnik stoi obok, a lekarz pyta tych chłopaków, którzy stali za kurtyną: Za co siedzi dzisiaj? - Za drobiazg, panie doktorze - odpowiedziałem - sołtys zebrał od chłopów podatek a ja wziąłem od sołtysa. Jak ~~to~~ on to usłyszał to mało nie pękł ze śmiechu. Po prześwietleniu mówi, że mam wodę w boku. Trzeba zrobić punkcję. Posadził mnie na ~~stół~~ stół, wbił strzykawkę między łebra, wyciągnął płyn i pyta się: Ile czasu ty jesteś chory? - Trzeci tydzień. - Wiesz co? Nie wiem co z tobą jest, ale gdybyś był w sanatorium to lepiej by

ciebie nie wyleczyli. Pokazał mi płyn w strzykawce. Był czystein ciutki. wracasz do zdrowia - powiedział. A mówię, że przy zapaleniu płuc z wysiękiem to płynów nie wolno pić, a ja ~~wypiłem~~ ^{kawy} 8 litrów dziennie.

Na izbie chorych leżałem na pojedynce z jeszcze jednym gościem. To tu już była Ameryka. Na kolację dawali kleik, płatki owsiane. Ani apeli, ani pobudki. Kilka tygodni pobyłem tam. Był to Okręgowy Szpital Więzienny w Bytomiu. Potem spowrotem trafiłem na izbę chorych w Raciborzu. Tu już na celi ze 20-tu chorych, jeden stęka, drugi jęczy. Stamtąd przewieźli mnie do sanatorium więziennego w Cieszynie. Tu też było dobrze. 8-miu na celi, jedzenie przyzwoite, chleb pszenny już przynosili posmarowany masłem. Tu też zostałem starszym celi. ~~Znowu był to nas~~ No i stoimy w kolejce do chleba. Ostatni biorę swoją porcję. No i był u nas mecenas Grochowski z Białegostoku. Starszy gość pod 60-tkę. Na stole leżało 8 porcji to pan mecenas stoi i patrzy, która porcja chleba grubsza. Ee, pomyślałem sobie, Antek tak nie będzie. Następnego dnia wydają chleb: W szeregu ustawić się - rozkazałem. I teraz każdy bierze po kolei jak leci. Ja oczywiście ostatni zawsze brałem swoją porcję. Następnego dnia, żeby nie było draki ustawiłem ich w szeregu i: W tył zwrot. - Ten co wczoraj był ostatni dziś jest pierwszy i skończyło się cwaniactwo, a tak, jak ~~nik~~ była cienka kanapka to nikt nie ~~chciał~~ chciał jej brać.

Oczywiście na każdej celi był kapuś. Nie wiem jak to było, ale wystarczyło, że wejść na celę, rozejrzeć się, przyjrzyć się wszystkim i już wiedziałem który to. Zresztą na spacerze pokazywaliśmy ich sobie. Każdy musiał mieć ręce założone z tyłu ~~pi~~ wystarczyło więc pokazać lekko kCiukiem i już wszystko było wiadomo.

Z sanatorium przewieźli mnie którejs nocy do Barczewa. To był kawał drogi. Z jednego końca Połski na drugi. Tu trafiłem na stolarnię. Gonili do roboty a tam pył, kurz, wentylacji nie ma a ja mam już przecież zmiany ~~wiekiem~~ w płucach a w wyroku nie miałem napisane, że muszę pracować. Wszyscy poszli do pracy a ja zostałem w celi. Przychodzi i pyta się: Dlaczego nie chodzicie do pracy? - Obywatelu komendancie. wróciłem z sanatorium Zapalenie opłucnej. Mam zmiany w płucach. Ile w tym pyle wytrzymam? Pół roku i koniec będzie. - To trzy dni przesiedziałem. Potem przyszli i kazali mi iść do pracy w magazynie więziennym. Mogę iść - pomyślałem sobie. Kierownik magazynu nazywał się Szopa. Dobry chłop. Robili tam krzesła, skrzynki na śmieci, a ja do magazynu przyjmowałem. Przyjmowanie nie odbywało się codziennie, więc kierownik zamykał mnie w tym magazynie. A tam były i silniki elektryczne i zawiasy. Poprosiłem go o litr oliwy i jakieś szmaty i wyczyściłem te zawiasy. Nie mogłem patrzeć jak to się marnuje a i z nudów nie miałem co robić. Wydawałem też mleko. Przywozili dwie bańki. Tu też oczywiście kradli. Kierownik zebrał sobie kożuszek: I ty chłopie też wypij - mówi do mnie. Zeby zgadzało się to wody dolewało się i poszło. I w tym magazynie dotrwałem do wolności.

Któregoś razu jeden z mądrych ludzi w administracji wpadł na pomysł, żeby dać nam nowe zajęcie. Z Morąga przyjechał samochód skrawków dykty z fabryki dykty. Skrawki te powiązane były w bele. I my mieliśmy obliczyć powierzchnię tego. Przez okno wrzucano te skrawki do magazynu. Mieliśmy obliczyć ile tego jest, a ścinki były przecież różnej wielkości. No i miałem to zmierzyć razem ze Skalskim, tym słynnym pilotem. On był pisarzem, a ja miałem mierzyć: szerokość, długość. Zrobiliśmy taką dwumetrową miarkę i cały dzień mierzyliśmy. Skalski zapisał już

cały zeszyt. Miał w końcu tego dość i mówi: Wiesz co chłopie? Ty siadaj w kącie i podawaj miary. Wiesz już jaka długość, bo szerokości są równe a ja będę pisał. Później ty odpoczniesz a ja sobie na pamięć popisziesz. Zanim to przejrzymy to pół roku minie, a kto to później wymnoży to już nie nasza sprawa. Ile jeszcze masz do końca? - ^{Ponad} Trzy lata - No to do końca wyroku zrobimy. - I tak pisaliśmy chyba ze 4-ery, 5* dni. W końcu chyba ktoś zmadrzał i odwołał naszą akcję. w tym czasie nie zrobiliśmy nawet jednej setnej tego co tam było tych ścinków.

Jak na początku wywożono nas z Białegostoku to o mało nas ~~ni~~ nie podusili na stacji. Na dworzec zawieźli nas skoro świtek. To był czerwiec. Na bocznicę stały więźniarki. Ładowali nas do nich w ten sposób, że jeden siadał drugiemu między jego kolanami. Dali prowiant na drogę: chleb, margarynę, trochę cukru, a pociąg ruszył dopiero gdzieś o 5-tej, 6-tej wieczorem. Cały ten czas siedzieliśmy w zamkniętych wagonach bez ruchu. Słońce prażyło niemiłosiernie. Ludzie mdleli. Strażnicy przynosili wodę i polewali nas ale to nie pomagało. Powietrze dostawało się tylko przez małe, zakratowane, okienko. Na dachach stały erkamy. To KBw nas konwojowało. Myślałem, że nie przeżyję tego dnia. Margaryna oczywiście rozpułnęła się. Już wołałem obóz niemiecki, chociaż tam leli.

w tym obozie - Angebrick - to jak co dwa tygodnie puszczali do łaźni, jak człowiek rozebrał się, to na plecach można było zobaczyć wszystkie kolory tęczy tak tłukli. Kobiety u nas zamartwiają się jak by tu się odchudzić, a tam trafił do tego obozu razem ze mną volksdeutsch. To był kawał chłopca. Ważył może ze 120 kg. Wysoki też był. I brzuch niezły miał. Dwa tygodnie później spotkałem go w łaźni to nie mogłem uwierzyć własnym

oczom. Jak chociaż zrobić siusiu to musiał fartuszek z tego brzucha odchylić. Po prostu brzuch zwisał mu aż do kolan. Dwa tygodnie ~~z~~ i człowiek odchudzony.

W białostockim więzieniu warunki to były straszne. Jak dali mnie do pojedynczej celi to był tam jeszcze ponemiecki, jutowy, siennik. Był w strzępach. Pojedyncze nitki sam związywałem. Zamiast słomy to były jakieś paprochy. Tego starczało mi tylko pod jeden bok. Nie mogłem położyć się na wznak. Koc był tak dziurawy, że jak złożyłem go to dziura nadziura dziurę trafiała. Cella była nieogrzewana. To była 14-tka na dole w suterynie. W listopadzie miałem wyrok, a na górę przetrzucili mnie dopiero w grudniu. Zaprowadzili mnie na celę ogólną. myślałem, że zwariuję z watówki wydkubałem watę i zatkałem sobie uszy ale wszystko jedno myślałem, że zwariuję. Ten szum dobijał mnie. W celi było wtedy 76-78 osób. Jak śledzie siedzieliśmy poupychani. Na podłodze spało się.

"Młot" to był twardy chłop. Nie był taki co to ~~z~~ swoje ja. Był raczej koleżeński, ale poufałości to nie było. Oczywiście na kwaterach spaliśmy razem, nigdy oddzielnie. No chyba, że w Pańkach byliśmy, to wtedy szedł do swojej dziewczyny. To były dwie siostry. Po ujawnieniu wyjechały z Paniek. Chyba na Prusy Wschodnie. Wypić można było ale nie tak, żeby się upić. Zdarzały się wypadki, że któryś z chłopaków upił się, ale robił to zwykle wtedy, gdy odłączył się od oddziału, gdy nie był razem z nami. Czasami zwracał uwagę, gdy dowiedział się o czymś takim od siatki, że jeżeli jeszcze raz to się powtórzy to będzie gorzej. Tak że różnie było, ale nikogo nie ukarał. Sam też czasami wypił, ale niedużo. Wigdy pijanego to go nie widziałem. Grynarz to już lubił wypić i kawały lubił

Pseudonim to sam sobie wymyśliłem jak wstępowałem do organizacji. Rysiów i Zbików to już było dość, a uważałem, że nie jestem taki odważny więc wybrałem "Zajaca". Ci Grzybko to byli cioteczni bracia "Młota". Nie pamiętam ich już jednak. Grzybko, Łuszczynski, Grynarz "Słowik" i Bołtruczyk to była taka nasza paczka. Reszta to od czasu do czasu nas wspomagała. Podział na drużyny to był wtedy gdy było nas około 20-stu. Nie pamiętam jednak drużynowych.

Gdy nie było mnie w oddziale, bo np. byłem wysłany do innej wsi z zadaniem, oddział zrobił akcję w Satrosielcach. Zatrzymali pociąg. wtedy zginął jeden z naszych, z oddziału: Karol Konopka. ~~Zginął tam też wtedy jeden z KBW~~ Zginął tam też wtedy jeden z KBW któremu poświęcona jest tablica na dworcu w Satrosielcach. Wtedy nasi wypuścili więźniów z tego pociągu. Razem z naszym oddziałem byli też inni. Konopka był z Rogowa. Akcja powiodła się tylko częściowo, bo tylko część więźniów wypuszczono. Z Rogowa również Gienek Cylik chodził razem z nami. Do ujawnienia. Kilka razy był z nami na akcjach. Poza tym działa w siatce Brat Konopki jest w Stanach. Dwa lata temu miał być u nas. Akurat wtedy zmarł Franek Sakowicz. To właśnie Franek namówił mnie, żebym wstąpił do Zbowidu. Przyjechał do mnie, wypiliśmy kawę. To już ostatnia chwila - mówił. I następnego dnia zmarł. On to miał cały plik zapisków. Jego adres /jego żony/: Rogowo 38, 600-007, poczta Konowazy. On miał książkę: 4-ery tomy o okręgu Białystok.

Brałem też udział w akcji na posterunek milicji w Tykocinie. To było latem /45 r. albo 46 r./. Od nas było 5-ciu chłopaków a reszta to NSZ z Rzędzian. Dowodził całą grupą "Trzask". Ich też nie było dużo, tak, że było nas chyba kilkunastu. Musiał u nas chyba nastąpić przeciek, bo nadzieliśmy się na UB. Załoga

składała się z 4 naszych milicjantów i jednego ubeka. Nasi z miejsca poddali się. Okazało się, że na górze jest jeszcze z kilunastu ubowców, którzy w nocy niespodziewanie przyjechali. Nasi nie zdążyli więc ~~xxx~~ ostrzec nas. Ubecy, jak zrobił się szum uciekli na górę. Więc kazaliśmy temu milicjantowi, ~~x~~ o którym wiedzieliśmy, że z nimi współpracował, żeby poszedł na górę i powiedział kolegom niech się poddają. Milicjant wszedł na schody. Gdy tylko zaskrzypiały przez drzwi poszła seria z erkaemu i stoczył się zabity po schodach. Swojego rąbnęli. No i teraz bądź mądry i wykurz ich stamtąd. "Trzask" jednak znalazł sposób. Niedaleko była spółdzielnia, gdzie można było dostać naftę. Przytoczono beczkę, rozlano naftę w środku posterunku po czym wycofaliśmy się razem z milicjantami i podpaliśmy. Gdy zaczęło się fajczyć wtedy ubecy zaczęli skakać przez okna. Wtedy już nie było komu poddawać się i brać do niewoli. Strzelaliśmy do nich jak do kaczek. Wszystkich wytłukliśmy. Nie czekając, aż to wypali się wycofaliśmy się. Nie było wiadomo, czy tam już kilka samochodów nie jedzie. Właśnie na tej akcji mieliśmy dwa nasze erkaemy. Jak szliśmy na ten posterunek to chodziło nam tylko o zlikwidowanie tylko jednego konfidenta- tego milicjanta, którego zabili swoi.

Jak robiliśmy posterunek w Choroszczycy to też chyba nastąpił jakiś przeciek. Ktoś chyba zdradził, bo cóż to było rozbroić ten posterunek. Wystarczyło 5-ciu ludzi. A jednak tutaj też czekali na nas ubowcy. Przyjechali niespodziewanie w nocy i dlatego nic nie wyszło. Postrzelaliśmy się jak cholera tylko zbliżyć się nie mogliśmy. Też ukryli się na strychu. Gdy zbliżyliśmy się do posterunku to na zgadywaną zaczęli ładować po nas granatami, tak, że nie mogliśmy podejść. Akcję tę przepro-

wadziliśmy już po zdobyciu posterunku w Tykocinie. Na tej akcji to już byliśmy sami, chociaż nie jestem taki pewien. Właśnie z tego posterunku zwał "Słowik". Był tam milicjantem. Stamtąd przyszedł do Paniek, gdzie miał siostrę. Tak się jednak złożyło że w tej wsi kwaterował również "Młot" i tak "Słowik" znalazł się w oddziale. Po jego ucieczce z posterunku wśród załogi znaleźliśmy kolejnego współpracownika. Posterunek ten robiliśmy wieczorem, tak, żeby noc mieć na odskok. Odskoczyliśmy po akcji do Rzędzian i stamtąd łódkami do Paniek. Eneszetowcy zostali gdzieś tam w Rzędzianach - ~~tak~~ dotyczy to może akcji w Tykocinie? - J.K. Na akcji w Tykocinie byli od nas: "Żbik", "Młot", Bołtruczuk, Sakowicz i ja. I jeszcze "Słowik". "Młota" miał kontakt z "Trzaskiem" i to on dogadał się z "Trzaskiem" co do tej akcji. Jak brali "Trzaska" to słyszałem strzelaninę, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem o co chodzi. Wiem, że sam się dobił. Otoczyli go pod stogiem w Rzędzianach i bronili się dopóki miał amunicję. Na koniec usłyszałem pojedynczy strzał. Być może to był ten, którym dobił się. Potem nastąpiła cisza.

Niektórzy ludzie we wsi to mieli złoto. Była taka jednak kobiecina, która miała siostrę w Stanach i ta przysyłała jej i przed wojną i po wojnie. Ta kobiecina zamiast schować je do woreczka i nosić na szyi to schowała w stodole. I jak była ta ~~pię~~ pierwsza obława przez NKWD, to jeden z ubowców, którzy im towarzyszyli znalazł ten woreczek. Broni nie znaleźli nigdzie awały woreczek złota jednak ~~nix~~ znaleźli. Tak, że ludzie mieli pieniądze, a człowiek jak się ujawniał to w dziurawych butach chodził, tak się narabował w tym lesie. A Grzybko, o którym mówią, że narabował, to takie samo bogactwo miał jak i ja. Przecież jak złoto by gdzie wzięli, to ja nie taki frajer, żeby doł

li nie dostał. A przecież te kilka świniaków, które zresztą w
braliśmy u takich co to za władzą ludową gardłowali, to poroz-
dzielaliśmy po naszych punktach, gdzie mieliśmy stałe kwatery,
żeby jak przyjedziemy - było co jeść. I to było całe nasze bo-
gactwo. Nigdy nie zrobiliśmy żadnego banku czy kasy. Cały czas
żyliśmy na łaskawym chlebie.

Spisał: Jerzy Kułak.